

dobry tygodnik sądecki

dts **WOLNA
SOBOTA** **24**

6 lutego 2021 | nr 5-6 (535-536)
gazeta bezpłatna wydanie tylko w wersji elektronicznej

**Roman Kluska –
największy gangster RP**

» str. 10–11

**Stara Kolonia – kolejarska
wyspa**

» str. 13

**Paweł Leśniak i jego
wydawniczy głód**

» str. 15

**O Lucynie, co Niemca pokochała.
On ewangelik, ona teolog katolicki,
czyli prosta recepta na udane małżeństwo**

» str. 7



Kolejny numer „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” w wersji papierowej i on-line ukaze się 18 lutego

WASZA MOTOPASJA!



Na zdjęciu mały Miłosz – synek naszej redakcyjnej koleżanki Anety Buczek-Bogacz

To jakieś kompletne szaleństwo. Nasze samochodowe wydanie DTS MOTOPASJA z 28 stycznia bije wszelkie rekordy popularności. Gazeta motoryzacyjna w sądeckim wydaniu okazała się czytelniczym strzałem w dziesiątkę. Po Motopasję sięgnęło blisko 100 tysięcy Czytelników. Wiedzieliśmy, że samochody to temat rozpalający wyobraźnię nie tylko dużych facetów i poważnych dam, ale żeby już tacy mali chłopcy interesowali się autami? Nadciągają nowe czasy.

(RED)

O CZYTANIU

Podaruj komuś książkę

Właśnie mija 125 lat, jak krakowski profesor Józef Szujski przekazał Nowemu Sączowi swój prywatny księgozbiór. 1791 dzieł w 2942 tomach stało się podwaliną pod dzisiejszą bibliotekę publiczną. Szujski przez wiele lat jako poseł reprezentował Sądeczynę. Przekazanie księgozbioru do użytku mieszkańców traktował jako poselską dbałość o rozwój miasta i regionu.

Do dzisiaj, choć już tylko w zbiorach archiwalnych biblioteki, można podziwiać książki podarowane przez Szujskiego. To najstarsza część zbioru obecnie raczej o charakterze muzealnym. Jedną z stron tytułowych z tamtego zbioru prezentujemy obok (z widocznymi inicjałami właściciela), a Czytelnikom zostawiamy wnioski, czy czcionka sprzed 125 lat była tak przyjazna w lekturze jak dzisiejsze wydanie DTS.

(WICZ)



MAREK STAWOWCZYK RYSUJE

SOBOTA DLA KOTA

Morsowanie wzmacnia odporność,



zwiększa metabolizm,



ujędrnia ciało.



No i dobrze...



MAGIA LICZB

420

kN. To nie rejestracja samochodu z Nowego Sącza, ale moc mierzona w kiloniutonach jaką w momencie rozruchu na torze testowym w Czechach osiągnęła produkowana w Nowagu lokomotywa Dragon 2. To rekord siły pociągowej na tym torze. 420 kN to równowartość

6800

koni mechanicznych, czyli tyle, ile łącznie posiada pod maską 50 volkswagenów golfów. Moc ta pozwala uciągnąć

4500

ton ładunku. Dla przykładu zimą będzie to

50

wagonów z węglem. Dla Państwa spokoju nie podajemy, ile pyłu zawieszonego PM 10 można wyprodukować z takiego składu pociągu.

(CYFRA)

Zobacz koniecznie krótki film o lokomotywie. W rolach głównych występują: Dragon 2, Grzegorz Knop, dzieci z Niepublicznego Domowego Przedszkola w Nowym Sączu. W pozostałych rolach: firma Newag. Scenariusz i reżyseria: Julian Tuwim i Studio DTS Production.

<https://www.youtube.com/watch?v=2NWRNKQfLVM>

Schabowy z kapustą i Bochenkiem



Jerzy Widel
Z kapelusza

Gdybym chciał się wyzłosić, to musiałbym stwierdzić, że wiceprezydent Nowego Sącza Artur Bochenek ma gest w porównaniu z prezydentem miasta Ludomirem Handzlem. Ten pierwszy zaprasza na obiad, zaś ten drugi jedynie na kawę. Mnie mam, że nie na zbożówkę. Kiedy piszę te słowa, jeszcze nie wiem,

kto będzie konwersował z przedstawicielami władz miasta i gdzie, zwłaszcza, że lokale gastronomiczne są zamknięte. Ale żarty na bok, bo sprawa jest poważniejsza.

Otóż obaj panowie, i chwala im za to, czynnie włączyli się w działania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzego Owsiaka. Zgłosili bowiem swoje pomysły do licytacji, by zasilić fundusze umożliwiające zakup sprzętu medycznego dla szpitali. Stanęli w jednym rzędzie z solidarnym społeczeństwem idącym z pomocą, widząc jaki jest stan polskiej („narodowej”) służby zdrowia. Ponad podziałami, czego władza państwowa nie chce dostrzec.

Ba, cała akcja WOŚP to przecież przykład, jak się wprowadza pokój społeczny, przynajmniej w tę jedyną styczniową niedzielę. Ta niedziela WOŚP pokazała, że możemy być dla siebie sympatyczni, bo z jednej strony młodzi ludzie uczą się wolontariatu i empatii, z drugiej niektórzy politycy, jak Handzel i Bochenek, drobnym gestem, bo przecież mogli wystawić do licytacji jakieś gadzety, pokazując, że lokalny polityk może być sensowny w przeciwieństwie do niektórych rajców królewskiego grodu Nowego Sącza. I już dawno uwierzyli, że długoletnia akcja Jerzego Owsiaka to nie jest pic na wodę, ale coś znacznie głębszego.



KORESPONDENCJA DTS Z USA

Kiedy z kranu płynie Coca-Cola



FOT. PIXABAY

Z Coca-Colą było tak: handel notował permanentny brak Coli na sklepowych półkach. A jak się już pojawiała to rzadko. Nawet spod lada nie było. Kto miał dolary albo przynajmniej bony, mógł kupić Colę w Peweksie. A po wypiciu postawić pustą puszkę na półce jak trofeum z polowania w lepszym świecie. W szkolnym sklepiku i osiedlowym supersamie królowała Polo Cocta.

Historia zatoczyła koło. Podatek cukrowy sprawił, że Coca-Cola stała się znowu towarem luksusowym. No może jeszcze nie tak luksusowym jak w czasach mojego dzieciństwa, kiedy Colę mogliśmy oglądać z nosem przyklejonym do szyby dewizowego sklepu, wyobrażając sobie jej smak. Dziś zaporowa dla wielu cena ma postawić tamę nadmiernej konsumpcji słodzonych napojów gazowanych. Tym razem nie z powodów politycznych, ale zdrowotnych. Nikt nas już nie straszy ideologicznym złem czającym się w butelce imperialistycznego napoju. Według współczesnych dietetyków Cola nie atakuje naszego umysłu, ale pupę, która od nadmiaru kalorii któregoś dnia może nie zmieścić się w spodniach.

W Atlancie (Georgia... on my mind) wylądowałem jesienią 1996 r. Znic olimpijski był jeszcze ciepły, a gadżety niesprzedane po igrzyskach niemal wszystkie wystawione po dolarze. Tylko skąd wziąć te dolary? Ale nie o sportowe zmagania tu chodzi, tylko o apetyt czy raczej pragnienie, które mogła ugasić jedynie mityczna Coca-Cola rodem z Atlanty. No dobrze, przynajmniej, trafiałem do tamtejszego muzeum Coca-Coli. W tamtej wersji ono już nie istnieje, zostało bowiem zastąpione w 2007 r. przez nowe, dużo większe. I nawet, jeśli z odwiedzin tego dziwnego muzeum niewiele zapadło mi w pamięć (nie starzono tam wszak w dębowych beczkach unikalnych roczników Coli), to doskonale zapamiętałem wizytę w strefie degustacji. Z niezliczonych kraników oznaczonych różnymi etykietami, prosto ze ściany wypływały 22 rodzaje Coli w różnych smakach (Tastes of the States). I tu informacja ważna dla dzisiejszej młodzieży nagle i brutalnie odciętej przez podatek cukrowy od podobnego kranika z Colą: mogłeś tam pić w cenie biletu wszystko, jeśli tylko miałeś odpowiednią pojemność. Cóż to była za uczta dla kogoś, kto przez całe dzieciństwo mógł Colę oglądać głównie na amerykańskich filmach.

No więc Coca-Cola podróżowała i jakoś trzeba to przeżyć. Kusi mnie natomiast myśl, by 130-lecie wynalezienia najpopularniejszego napoju świata (uczynił to dr John S. Pemberton w 1886 r.) uczcić puszką zimnej Coli. A potem postawię ją na meblach w salonie jako pamiątkę po dawnych czasach. Niestety swojej korespondencji z Ameryki nie mogę zilustrować oryginalnym zdjęciem, bowiem dokumentujący wyprawę fotoreporter Jerzy Cebula uznał, że muzeum Coca-Coli zwiedzać nie będzie, a aparatów w komórkach jeszcze nie było. Chyba nawet komórek nie było.

Z Atlanty, 25 lat później specjalnie dla Czytelników DTS

WOJCIECH MOLENDOWICZ

NAZWISKO, KTÓRE...

Niełatwo powiedzieć

Jak brzmi najtrudniejsze do wymówienia nazwisko? Pewności nie mamy, ale w Nowym Sączu być może jest to nazwisko Krschka. Jego właściciel, pan Jarosław Krschka, przyznaje, że sam nie ma problemu z wymówieniem własnego nazwiska, ale inni...

– Inni zwykle mają z tym kłopot – śmieje się Jarosław Krschka. – W szkole zawsze przy moim nazwisku zawieszali się nauczyciele odczytujący listę obecności. Początkowo przekręcano je na wszystkie możliwe sposoby, których nie jestem nawet w stanie zacytować. Dla mnie to proste – fonetycznie czyta się je Krszka.

Według portali zajmujących się gromadzeniem polskich nazwisk w 2017 r. Krschka to nazwisko niezwykle rzadko występujące w Polsce. W 2017 r. w naszym kraju mieszkało 20 osób o takim nazwisku z przewagą kobiet (11) nad mężczyznami (9). Najwięcej osób o nazwisku Krschka mieszka w Małopolsce, bo aż 9. A skąd się ono wzięło?

Przywędrowało do Nowego Sącza w czasach Austro-Węgier, kiedy w tyglu narodów tworzących imperium nacje przemieszczały się, mieszały, a nazwiska ulegały wpływom sąsiadów. Stąd prawdopodobnie Krschka w Nowym Sączu. Ale ani z Austrii, ani z Węgier raczej nie pochodzi, raczej z czeskiej Pragi, choć niezbitych dowodów na to brak.



(NAM) Jarosław Krschka

Musisz morsować, rób to z głową



Monika Kowalczyk
Różowym atramentem

Dla selfie na szczycie zaśnieżonej góry w samych gątkach (panowie) lub w bikini (panie) ryzykują życie. Nie liczą się z tym, że grozi im odmrożenie rąk i nóg lub nawet śmiertelne wychłodzenie organizmu. Uważają, że warto dla syjących się lajków na fejsbuku i serduszek na instagramie. A ileż splotywa na ich konto zachwyconych komentarzy! Jak miło być bohaterem na własnym „łolu”. Nie mam nic przeciwko tak ekstremalnemu dziwactwu, o ile decydują się na nie osoby na tyle odpowiedzialne, żeby się do nich solidnie przygotować. Wymaga to treningu morsowania, ćwiczeń oddechowych, odpowiedniego ekwipunku i sprawdzonych

towarzyszy na szlaku. Dla szpanerów pozujących na mrozie w kolorowych majtkach nie mam zrozumienia. Przykład turystki, która półnaga, bez większego przygotowania, wybrała się na Babią Górę, a którą przed zamarznięciem uratowali przypadkowi turyści i ratownicy GOPR, pokazuje, że głupota ludzka bywa bezgraniczna. Kobieta była w hipotermii, miała odmrożone kończyny i mijała. I chyba nie przestała mijać nawet, gdy nagrywała ją ekipa TVN. Oznajmiła, że „nawet

himalaiści odmrażają sobie ręce i nogi, a mimo to swoje pasje trzeba realizować”. Oczywiście. Ale odpowiedzialnie i na własny koszt. Uważam, że amatorka morsowania powinna zapłacić za akcję ratunkową. Przeciwnicy płatnych akcji ratunkowych powiedzą, że karetka pogotowia jeżdżą po ofiary większych dziwactw. Ratunek się nam po prostu na leży. Zgoda, ja jednak się upieram, że za głupotę zagrażającą życiu lub zdrowiu powinno się zapłacić. Tak jak za jazdę po pijanemu.

Nie mam nic przeciwko tak ekstremalnemu dziwactwu, o ile decydują się na nie osoby na tyle odpowiedzialne, żeby się do nich solidnie przygotować

REKLAMA

MOCNA WYPRZEDAŻ FORDA 2020

RABATY DO 32 000 PLN*
NA OSOBOWE MODELE FORDA

Już teraz wybierz swojego Forda dostępnego od ręki u Autoryzowanego Dealera Wikar.

| Wikar Nowy Sącz, ul. Węgierska 168, tel. 18 414 0 414



*Szczegóły w salonie Wikar i na:



wikar.pl



Partnerzy wydania:



Wikar





Mówili do niego „Pierwszy”

Jeśli ktoś Wam powiedział, że w internecie jest wszystko, to Was okłamał. Tego nie ma. Szukaliśmy poza siecią i wyłowiliśmy perelkę, która z pewnością spowoduje u Was wydzielanie dodatkowych dopamin w długie zimowe wieczory.

W nr. 15 z 1987 r. „Głosu ZNTK” na str. 4 opublikowano wywiad z Eugeniuszem Szczecińskim, kierownikiem I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Józefa Brożka. Halo, ale kim był pierwszy sekretarz – zapyta ktoś przytomnie? Hm, to trudne pytanie. Mówiąc najprościej, to był najważniejszy facet, jakiego można sobie wyobrazić. Nie, tego nawet dzisiaj nie można sobie wyobrazić! Tak był potężny.

No więc o co reporter Artur Smoleń zapytał kierownika towarzysza I sekretarza, powożąc go trzytętnym polonem 2000, 112 tys. km przebiegu na włoskim silniku?

„(...) – Podobno gdy zatrzyma Was milicjant, sekretarz nigdy nie interweniuje?

– To prawda, jest człowiekiem bardzo skromnym. Nie zdarzyło się, by wyciągnął swoją legitymację, gdy interweniuje kontrola drogowa. Niedawno wiozłem szefa do Warszawy na Komisję Skarg i Wniosków przy KC. W Skarżysku wyprzedziłem ciężarówkę. Śmigłem na ciąglej linii. Zatrzymano nas. Musiałem zapłacić.

(...) – Ile czasu spędza Pan za kółkiem?

– To zależy. Niekiedy nie ma wielu jazd. Innym razem trzeba zarywać noce. Przykładowo podczas Dni

Uljanowska pojechałem aż do Lwowa po delegacją radziecką. W związku z różnicą czasu nie miałem nawet kiedy się przespać (...). Uruchomiony niedawno pociąg ekspresowy do Warszawy spowodował, że nie ma już tylu jazd do Krakowa czy stolicy.

– Jak się Pan ubiera do pracy?

– Jeśli wiem, że nie będzie wyjazdu w teren, to luźno. Gdy mam wieść gości – obowiązkowo garnitur.

– Ile ma Pan białych koszul?

– Siedem (...)

(...) – Jak nazywacie towarzysza Brożka?

– Ja zwracam się do niego per „szefie”. Chyba, że są oficjalni goście, wtedy używam całego tytułu. Inni mówią „Pierwszy” i to wystarczy.

– O czym rozmawiacie w czasie jazdy? O polityce?

– Nigdy. Sądzę, że szef dość ma polityki na co dzień, żeby jeszcze dyskutować na te tematy z kierowcą. Zwykle mówimy o rodzinie, normalnych sprawach dnia, o sporcie. Obaj jesteśmy kibicami Sandecji. Co się teraz dzieje z tą drużyną?

(...) – Skąd się Pan wziął w Komitecie Wojewódzkim?

– Początkowo jeździłem w RPWiK. Gdy tworzyli województwo, zgłosiłem się do Komitetu i przyjęto mnie. Najpierw byłem przydzielony do towarzysza Kamińskiego, następnie sekretarza Kosteckiego, a teraz... już Pan wie (...)

(DRAJF)

M-3 plus balkon

„(...) Radosny nastrój ogarnął wielu sędęczan w wolną sobotę. Ale najszcześliwszym z nas był w ub. tygodniu (właśnie w wolną sobotę) Andrzej Bednarek. Na liście przydziału mieszkań jego nazwisko poprzedzone było cyfrą 1. Spółdzielnia Mieszkaniowa „Siła” oddawała blok dla 50 rodzin przy ul. Traugutta 42 w Nowym Sączu. Andrzej Bednarek otrzymał M-3. Dwieście czterdzieści trzy tysiące wkładu. Czterdzieści osiem i siedem setnych metra kwadratowego powierzchni. Plus wypuszczony balkon na całej długości pokoju nie wliczany w metraż (...)

„GŁOS ZNTK” NR 15, 1987 R.

TROPEM HISTORII

Trwają poszukiwania krewnych trzech śmiałków, którzy porwali bombowiec

Ludwik i Roman mieli po 28 lat, Staszek – 25. Trafili do niemieckiej niewoli. Byli jeńcami obozu zlokalizowanego około 50 kilometrów od Wiednia – w mieście Wiener Neustadt. Postanowili uciec... Okazja nadarzyła się 21 sierpnia 1943 roku. Miasto, fabryka samolotów oraz lotnisko, na którym stacjonowała 1 Eskadra Szkolna niemieckiej Luftwaffe – Lehrgeschwader 1, stały się w sierpniu 1943 roku celem alianckich nalotów. Wykorzystując zamieszanie panujące na lotnisku, Polacy porwali jeden z niemieckich bombowców.

Ju 88A-4 z numerem bocznym 142457 i z oznaczeniem L1 oderwał się od ziemi i poleciał na południe. Był nieuzbrojony. Zbiorniki paliwa miał pełne. Obsługa lotniska pewnie myślała, że za sterami maszyny siedzą piloci Luftwaffe...

Niestety finał lotu po wolność nastąpił szybko i był tragiczny. Samolot wbił się w ziemię niepełna 50 kilometrów od miejsca startu, nieopodal stacji kolejowej Ausschlag Zöbern. Wrak maszyny spłonął.

21 sierpnia 1943 do lokalnej kostnicy przyjeżdżali szczątki ludzi, którzy zginęli w katastrofie, a w księdze zgonów odnotowano trzy nazwiska: Ludwik Michalski, Stanisław Krasoń, Roman Bednarek.

Grupa pasjonatów historii ze stowarzyszenia „Ocalić od zapomnienia Infinitas” chce upamiętnić Polaków, którzy zginęli podczas brawurowej ucieczki. Próbuje dotrzeć do rodzin. Tropy historycznego śledztwa zaprowadziły między innymi do Krynicy, gdzie przed wojną mieszkał jeden z „porywaczy” bombowca, Ludwik Michalski.

Udało się ustalić, że Ludwik urodził się 21 stycznia 1915 roku. Jego mama miała na imię Antonina

(z domu Kubiak). Przed wojną mieszkał w uzdrowisku pod Jaworzyną, z żoną – Genowefą.

Jest też ślad po towarzyszach Ludwika. Stanisław Krasoń urodził się 3 marca 1918 r. w miejscowości Neidhard. Obecna nazwa to Łęże (gmina Przemków, województwo dolnośląskie). Był synem Stanisława Krasonia i Bronisławy z domu Kotyła. W archiwum Arolsen ma wpisany zawód: malarz. Roman Bednarek urodził się 2 sierpnia 1915 r. w miejscowości Zborowskie (województwo śląskie). Przed wojną mieszkał w Lublińcu przy ul. Dworcowej 15.

Wdowa po Ludwiku Michalskim po raz drugi wyszła za mąż. Miała dwie córki. Jedna z nich wyjechała do Austrii. Druga przeprowadziła się do Nowego Sącza.

I tutaj historyczne śledztwo napotkało na szlaban przepisów związanych z ochroną danych osobowych. Nie wiadomo, gdzie szukać osób, które mogłyby wnieść do tej historii kolejną porcję informacji.

Na cmentarzu w Unteraspang znajduje się grób, w którym pochowani zostali polegli piloci. Jest plan upamiętnienia ich, dlatego właśnie rozpoczęto poszukiwania krewnych. Z redakcją „Dobrego Tygodnika Sądeckiego” skontaktowała się w tej sprawie Dorota Bartoszewicz, jedna z inicjatorek ocalenia od zapomnienia tej historii.

„Pomóżmy. Już nie raz nam się udało. Polsko, do dzieła! Czekam na sygnały” – apeluje, a my w ślad za nią.

IWONA KAMIEŃSKA

Więcej informacji:

<https://www.dts24.pl/trwaja-poszukiwania-krewnych-trzech-smialkow-ktorzy-porwali-bombowiec-trop-wiedzie-do-krynicy-i-nowego-sacza/>

REKLAMA

POMAGAJ. ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE WARTO!

1%
KRS 6079

POMAGA PRZEZWYCIĘŻAĆ AUTYZM

Pomagamy od 1996 r.
więcej informacji na www.mada.org.pl

Fundacja Pomocy Osobom z Autyzmem MADA



Spirytus do płóz

To brzmi trochę jak bajka o Kopciuszku w krainie czarów. Pojawia się nawet na moment książę Monako. 3 lutego minęło 70 lat od legendarnego ślizgu bobslejowej czwórki z Nowego Sącza na zimowej olimpiadzie w Cortina d'Ampezzo.

Stefan Ciapała, Józef Szymański, Jerzy Olesiak i Aleksander Habela – na zdjęciach z 1956 r. w skórzanych kurtkach wyglądają jak filmowi amanci. Ale ich droga do sławy (pardon, lodowa rynna do sławy) wcale nie przypominała hollywoodzkiej produkcji. Zresztą sławni byli głównie w Nowym Sączu. Ich 15. miejsce na igrzyskach przeszło do historii przede wszystkim dlatego, że w Dolomity udało się wysłać bobslejową załogę, chociaż u nas nie było toru do treningów, a nawet prawdziwego boba. Jedna z legend głosi, że płozy do narodowego bolidu olimpijskiego wykuwały się w sądeckich ZNTK, a podwozie pojazdu ogarniali znajomy spawacz i ślusarz. Według innej opowieści załoganci

udali się na włoską olimpiadę na pace ciężarówki wiozącej ich boba, choć był przecież środek zimy.

Być może właśnie dlatego z tamtego startu w Cortinie w 1956 r. przetrwały bardziej anegdoty i zabawne wspomnienia, niż jakimkolwiek zapisem czysto sportowych zmagania. Jak relacjonuje „Panorama sportu sądeckiego” 31 stycznia, czyli na kilka dni przed zawodami, w jednym z lokali załoga świętowała urodziny Józefa Szymańskiego. Na włoskie wino sądecki bobsleista miał wydać równowartość swoich kilkumiesięcznych wypłat. No, ale przecież taki moment jak start w olimpiadzie może zdarzyć się w życiu tylko raz. A skoro o winie było, niech będzie i o spirytusie. Olimpijska legenda czwórki z Nowego Sącza głosi, że spirytus służący do smarowania płóz lodowego bolidu odkupili od Polaków karabinierzy. Widać ktoś w Łącku się zagapił i nie pomyślał, by wsunąć sportowcom kilka butelek śliwownicy do walizki.

(ICE)



FOT. ARCH. MUZEUM OKRĘGOWEGO

Rękawice na miarę rekordu Guinnessa

Czarni górale z gminy Piwniczna chcą zdobyć wpis do Księgi rekordów Guinnessa za sprawą potężnych rękawic utkanych z owczej wełny. Prace przy ogromnych krosnach już się rozpoczęły i mają potrwać nawet rok. Para 2-metrowych, karpackich rękawic ma być unikatem na skalę światową. Zarówno pod względem rozmiarów, jak i techniki wykonania.

Nad pierwszą rekordowo wielką rękawicą pracuje już grupa mieszkańców, którzy kultywują liczącą setki lat tradycję. Ich wspólne dzieło jest wykonywane według starego wzoru, który zachował się wśród eksponatów Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Piwnicznej. – Z tego co nam wiadomo, tylko w Karpatach tkano w ten sposób. Będzie to niewątpliwie największa taka rękawica na świecie – zaznacza Monika Florek, pomysłodawczyni bicia rekordu. Rękawice powstają z białej i czarnej wełny, która pochodzi od owiec wypasanych na halach wokół Piwnicznej. Ich tkanie ma stać się jedną z atrakcji Śrytu Pasternickiego, imprezy, która odbędzie się w czerwcu w Wierchomli. Każdy z uczestników wydarzenia będzie mógł spróbować swoich sił w tworzeniu tego wyjątkowego rękodziela. Tkaczki z gminy Piwniczna zamierzają też wyruszyć z rękawicą w tournée po wydarzeniach kulturalnych w całym regionie, aby promować swoje tradycyjne rzemiosło. Dziś to żmudne zajęcie jest raczej domeną kobiet, ale pierwotnie tkanie rękawic furmańskich trudnili się tylko mężczyźni, którzy zimą zużywali w tym celu resztki wełny. – Wyjątkowe jest to, że tkanie rękawic wśród czarnych górali jest przekazywane z dziada pradziada. To nieprzerwana tradycja, którą chcielibyśmy wpisać też na listę UNESCO – zapowiada Monika Florek.

(PAS)



FOT. MARCELINA KUBIAK

KROK OD KOŃCA ŚWIATA

W co celował meteoryt?

M mało kto pamięta, że jakoś na przełomie stycznia i lutego 2004 r. na Sądecku głośno dyskutowano o końcu świata. Zbliżał się nieubłagany, wielkimi kosmicznymi krokami, a ściślej rzecz ujmując z prędkością światła.

I do tej sytuacji idealnie pasowało ulubione dziś słówko nadużywane przez tych, którzy znaczenia trudnych słówek nie kumają. Armagedon miał nastąpić na pięknej ziemi sądeckiej, ale byli i tacy, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, czy władze na Armagedon są przygotowane.

Pogrzebaliśmy w starej szafie i wygrzebaliliśmy relację z tych dramatycznych wydarzeń pióra Moniki Kowalczyk zamieszczoną w „Dzienniku Polskim”. Zapinamy pasy i czytamy!

„(...) Sądecki radny Stanisław Węglarz, złożył interpelację, w której docieka, czy jego powiat przygotowany jest na uderzenie meteorytu. Radnemu chodziło konkretnie o planetoidę 2004 MN4, odkrytą pół roku temu przez amerykańskich naukowców z Hawaia Asteroid Survey, która ma uderzyć w Ziemię w 2029 r. wyzwalając przy tym energię odpowiadającą wybuchowi 2300 megaton trotylu. Dla porównania bomba atomowa zrzucona w 1945 r. na Hiroszimę spowodowała wyzwolenie energii „zaledwie” 20 kiloton trotylu.

Choć najświeższe obliczenia naukowców uspokajają, iż planetoida raczej nie trafi w Ziemię, władze powiatu nowosądeckiego potraktowały interpelację bardzo poważnie. I nawet jeśli nie utworzą specjalnej komisji ds. obrony powiatu przed uderzeniem planetoidy 2004 MN4, to na pewno planują przygotowanie radnemu na piśmie odpowiedzi uspokajającej, iż Sądecka nie jest celem gigantycznego meteorytu (...).”

(CHSZ)

REKLAMA



Towarzystwo Przyjaciół Chorych **"Sądeckie Hospicjum"**

KRS 0000039177

www.hospicjum.nowysacz.pl



Niech 1% Twojego podatku pomaga innym! Nie pozwól umierać w cierpieniu i samotności przekaż 1%



Partnerzy wydania:



6 lutego 2020 | dobry tygodnik sądecki | 5



Rozmowa z ks. DARIUSZEM CHWASTKIEM, proboszczem Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Przemienienia Pańskiego w Nowym Sączu

– Nowy Sącz był miastem wielokulturowości, wielowyznaniowości. Dziś kościół ewangelicki jest już jedynym czynnym, który funkcjonuje obok świątyni wyznania rzymskokatolickiego. Jak licznym dziś jest zborom?

– Patrząc na statystyki, liczbę wiernych, to pewnie niewielkim. Cała parafia, która ciągnie się na wschód do Przemyśla i na południe do Zakopanego liczy 66 osób. Co roku przybywa dwóch-czterech nowych wyznawców. Nie o liczby tu jednak chodzi. Mówiąc o naszym kościele, jego miejscu w Nowym Sączu, należałoby sięgnąć do historii. Kolonizacja józefińska, prowadzona w XVIII wieku głównie na terenie Galicji, w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że na ziemi sądeckiej pojawili się wyznawcy kościoła protestanckiego, luteranckiego (bo mamy dwa nurty: kościół ewangelicko-augsburski i ewangelicko-reformowany). W wyniku ich asymilacji zaczęły budować się parafie. Pierwsza powstała w Stadłach. Historia kościoła w Nowym Sączu wiąże się z datą 30 października 1800 r., kiedy ewangelicy zakupili opuszczone zabudowania poklasztorne ze zniszczoną dawną kaplicą Przemienienia Pańskiego, które stały się siedzibą parafii i szkoły wyznaniowej. Poświęcenie kościoła nastąpiło w 1802 roku. Czyli już przeszło 200 lat jesteśmy tutaj. W szczytowym momencie kościół ewangelicki na Sądecku liczył trzy tysiące wyznawców. Za wielkie Boże błogosławieństwo uznaję, że przetrwalimy naprawdę ciężkie zawirowania historii. Już pierwsza wojna światowa dała się nam we znaki, a po drugiej została nas garstka. Wielu ewangelików opuściło miasto. Ludzie, po wojnie – i trochę trudno się dziwić, choć tak nie powinno być – niechętnie odnosili się do wszystkiego co niemieckie lub w jakikolwiek sposób z Niemcami związane. Ewangelicy przestali więc czuć się w Nowym Sączu jak u siebie.

Ewangelik nie chwyta kilku srok za ogon

» Rozmawia Katarzyna Gajdosz-Krzak



Ks. Dariusz Chwastek

Dodatkowo, złą robotę robiła władza ludowa walcząca z Kościołem. Wiele więc z nas opuściło miasto. Niestety, ludzie patrzą najpierw na narodowość, wyznanie, a najpierw powinno się patrzeć na człowieka.

– Jednak narodowość, wyznanie też determinuje to kim jesteśmy i jacy jesteśmy?

– Zgadza się, niemniej uważam, że w pierwszej kolejności powinniśmy patrzeć na to, jakim ktoś jest człowiekiem, a później odnosić to do narodowości, do wyznania.

– Przed wojną kościół ewangelicki miał w mieście dość silną pozycję, którą zawdzięczał między innymi pozycji swoich

wiernych. Do zboru przecież należeli burmistrzowie Nowego Sącza, ale też znane rody lekarzy, prawników, którzy pełnili społeczne funkcje, byli radnymi, prezesami stowarzyszeń. Jak jest teraz?

– No tak, burmistrzem Nowego Sącza był między innymi Johan Johanides, który za swoją pensję wybrukował rynek. W pierwszym spisie członków nowosądeckiej gminy ewangelickiej pośród 18 rodzin kolonistów znalazły się rodziny Daniela Deckera, Michała Alexandra, Johana Weimera, Petera Stengela, Philipa Jeneta czy Jocka Aleksandra. Te rody rzeczywiście odegrały znaczącą rolę w historii miasta. Warto też przywołać rodzinę Uhlów. Wilma Uhl w czasie

okupacji niemieckiej na strychu swojej willi przechowywała egzemplarz I tomu „Rocznika Sądeckiego”. Inny ewangelik, Eugeniusz Aleksander z kolei, który w czasie wojny stał na czele Kasy Zaliczkowej, uratował pomnik Władysława Jagiełły, który stoi dziś na kamienicy przy ulicy Jagiellońskiej. Mówię o tym, bo ewangelicy zawsze identyfikowali się z miejscem, w którym żyli. Chcieli działać dla dobra Nowego Sącza. Nie inaczej jest i teraz. Nadrzędny dla nas nie jest kościół jako taki, ale to, że mieszkamy w Nowym Sączu, czujemy się sądeczanami i jesteśmy za nasze miasto odpowiedzialni. W myśl słów proroka Jeremiasza. W Piśmie Świętym czytamy, że Izrael został zesłany do niewoli, do Babilonu. Bóg jednak powiedział do Izraelitów, że mają dbać o pomyślność Babilonu. Od pomyślności Babilonu zależała bowiem również ich pomyślność. I tą biblijną zasadą kierujemy się w życiu.

– Jakby Ksiądz określił dziś przekrój społeczny swoich parafian?

– Społecznie to zróżnicowana grupa. Trzon parafii stanowią osoby w wieku 40–70 lat. Młodzi

w większości wyjechali do pracy za granicą. Wśród nas nie ma osób „u szczytu władzy”, jak to kiedyś było. Ale kiedyś też były inne możliwości. Dziś, kiedy żyjemy w ogromnym pędzie, brakuje nam czasu na wszystko, ważne jest, żeby zadbać o to, co jest naprawdę ważne – o rodzinę, o pracę, o siebie. Bycie radnym miasta to bardzo odpowiedzialne zajęcie i wymaga poświęcenia. Dla ewangelika ważne jest, aby swoją pracę wykonywać dobrze. Ewangelik nie chwyta więc kilku srok za ogon, by tylko móc być na przykład w radzie miasta. Kiedy wie, że z braku czasu będzie musiał działać, mówiąc kolokwialnie, po lebkach, nie podejmuje się tego. To jest zasada odpowiedzialności. Ona jest dla nas nadrzędna w działaniu.

– Jak przejawia się Wasza odpowiedzialność za miasto? Dom Historii jest jednym z elementów?

– Dom Historii to współpraca, którą zapoczątkowaliśmy wraz z Fundacją Nomina Rosea w 2015 roku. Miał pokazać właśnie wielokulturowość Nowego Sącza w przestrzeni miejsca, w którym jesteśmy. Tu, gdzie jest nasza parafia, stykały się bowiem wpływy i kościoła protestanckiego, i gminy żydowskiej. To miejsce także silnie związane z legendą powstania Nowego Sącza i obrazu Przemienienia Pańskiego. To wzajemne przenikanie się kultur, historii, jest dobrem narodowym, dobrem Nowego Sącza. Chcemy więc je pokazać światu. Temu też służy organizacja Ekumenicznego Festiwalu Kultury Chrześcijańskiej. W ubiegłym roku jego druga edycja odbyła się online. Bardzo cieszy, że miasto wsparło tę inicjatywę, wiedząc w niej budowanie pozytywnego wizerunku Nowego Sącza i jego promocję.

– 23 stycznia 2004 roku w kościele ewangelickim odbyło się też pierwsze ekumeniczne nabożeństwo z udziałem duchownych wszystkich kościołów chrześcijańskich na Sądecku. Od tego czasu jest ono odprawiane co roku w innej świątyni. Jak będzie w tym roku?

– Niestety sytuacja epidemiczna, jaką mamy, sprawiła, że w tym roku nie było wspólnej modlitwy o jedność chrześcijan w jednym z kościołów.

– Była modlitwa online?

– Przyznam, że nie chciałem przeprowadzać tego online. Chce, by odbywało się to jak należy, żebyśmy mogli faktycznie odczuć tę naszą jedność. Może w przyszłym roku się uda.

W Piśmie Świętym czytamy, że Izrael został zesłany do niewoli, do Babilonu. Bóg jednak powiedział do Izraelitów, że mają dbać o pomyślność Babilonu. Od pomyślności Babilonu zależała bowiem również ich pomyślność. I tą biblijną zasadą kierujemy się w życiu

REKLAMA



przekaz 1%
swojego podatku

KRS 0000375906

38 1240 4748 1111 0010 3801 2715

FUNDACJA
O KAŻDE DZIECKO





O Lucynie, co Niemca pokochała

»→ Rozmawia Wojciech Molendowicz

Polski punkt widzenia

Rozmowa z LUCYNĄ HARTIG, żoną Georga, teologiem, nauczycielką religii w Bobowej

– Jak poznałaś swojego przyszłego męża?

– Na międzynarodowym obozie wychowawczym w Niemczech. Pojechałam tam z moimi harcerzami z hufca gorlickiego. Byli też młodzi Niemcy z rodzin dysfunkcyjnych i Rosjanie z domów dziecka.

– I wieczorami przy ognisku opowiadaliście sobie kawały z cyklu „Był sobie Polak, Niemiec i Rusek...”?

– Niekoniecznie. Po pierwsze początkowo kulała komunikacja językowa, a po drugie i ważniejsze obóz funkcjonował według niemieckiego porządku i wieczorami zamiast opowiadać kawały robiło się publiczne podsumowanie dnia. Taki rodzaj korporacyjnego raportowania z codziennych warsztatów, integracji w grupach i tym podobne sprawozdania. Osobiście nie przepadam za tym.

– Faktycznie mało romantyczne. Ale po części sprawozdawczej chodziliście na wieczorne długie spacerować?

– Nic z tego. Georg był szefem obozu i bardzo poważnie – jak to Niemiec – podchodził do swoich obowiązków. Odpowiadał za dużą grupę młodzieży i pewnie przez myśl mu nie przeszło, żeby zaniedbywać swoje zadania.

– Więc kiedy między wami zaiskrzyło?

– No w tym rzecz, że chyba wtedy nie zaiskrzyło. Pytałam nawet Georga po latach o ten obóz, na którym się poznaliśmy i przyznał, że nie był skoncentrowany na mnie, tylko na pracy, jaką mu powierzono.

– Skąd zatem wiedziałaś, że to ten facet... Albo inaczej: nie ulegaliście stereotypowym opiniom Polaków o Niemcach i odwrotnie?

– Nie wiedziałam, że „to ten facet”. Ujmowałoby mnie oczywiście, że za posturą dużego mężczyzny kryje się ciepły głos. Georg wydał mi się taki nieniemiecki.

– Czyli jednak stereotypy zadziały, skoro coś wydawało Ci się bardziej, a coś mniej niemieckie.

– Jakie tam stereotypy? Pewnie nie tylko mnie Niemiec kojarzy się raczej z kostycznym i zdystansowanym typem. A Georg był przeciwieństwem tej kostyczności. Po niemiecku skrupulatny i przepisowy w pracy, ale jako człowiek raczej romantyk.

– Romantyk, który nie wybrał się na spacer brzegiem morza? Akcja tej historii wcale nie wygląda na zmierzającą do szczęśliwego finału i zdania „żyli długo i szczęśliwie”.

– Do morza było daleko, więc nie ma o czym mówić. Na koniec obozu wszyscy żegnali się grzecznieściowym „do zobaczenia, wpadnijcie do nas”.

– No i Georg wpadł do Bobowej?

– Jakiś miesiąc później. Ale wcześniej zadzwonił i zapytał, czy może mnie odwiedzić. Pamiętam, że przyjechał starym, czerwonym fordem fiestą, co też nie wydawało mi się bardzo niemieckie. Tydzień pobył, pokazałam mu trochę Małopolski. W tym związku to Georg jest stroną romantyczną i to on pamięta wszystkie ważne daty. Dlatego 23 sierpnia 2004 r. uznaje za początek naszego związku, chociaż przedstawiłam go w domu – zgodnie z prawdą – jako kolegę z obozu. Zawsze myślałam, że to raczej kobiety przywiązują wagę do takich rzeczy jak daty i rocznice.

– Rewizytowałaś?

– Oczywiście, po kilku miesiącach pojechałam do Brunszwiku i tak sobie jeździliśmy do siebie. Aż do 2010 r. Wtedy uznałam, że z tą sytuacją trzeba zrobić coś w te albo we wte. Pracuję jako katecheta w szkole i choćby tylko z uwagi na wykonywany zawód moje życie osobiste powinno być przejrzyste. Należało to uregulować.

– Oświadczyłaś się Georgowi?

– Można tak to ująć, choć te oświadczyły miały charakter, powiedzmy, bardzo praktyczny. Musieliśmy to przegadać. Powiedziałam Georgowi, że po prostu trzeba coś z tym zrobić.

– Jak zareagował Niemiec na polskie ultimatum?

– Zareagował jak to Georg, przyznał mi rację.

– A jak zabrzmiało pierwsze wyznanie uczuć? „Ich liebe dich” – to brzmi mało romantycznie, nawet w wykonaniu bardzo romantycznego Niemca.

– W domu rozmawiamy po angielsku, więc usłyszałam to w naszym roboczym języku. No więc w październiku 2010 r. miała miejsce nasza zasadnicza rozmowa, nazwana przez ciebie oświadczeniem, a w grudniu był ślub i wesele.

– Szybko. Kiedy poszliście dać na zapowiedzi, ksiądz spadł z krzesła na wieść, że miejscowa katecheta wychodzi za Lutra?

– Sama poszłam załatwić formalności, bo Georg musiał pracować. A ksiądz proboszcz Marian Jedynak podszedł do tego zadaniowo, bez zbędnej afektacji. Normalna procedura, trzeba było wystąpić do biskupa o udzielenie dyspensy na zawarcie związku z osobą innego wyznania. Później spotkaliśmy się jeszcze raz z księdzem proboszczem, ale tym razem już we dwoje, żeby dopełnić formalności. W tłumaczeniu pomogła nam koleżanka z pracy, ucząca języka niemieckiego.

– Rodzina zareagowała podobnie jak ksiądz proboszcz?

– Jeszcze lepiej. Rodzice akceptowali Georga, bo widzieli, że to jest ciepły człowiek. Niekoniecznie rozumieli co mówi, ale wystarczało im tłumaczenie fragmentów rozmów.

– A rodzina pana młodego?

– Byli zachwyceni Polską, weselem, obsługą imprezy w Sądeckim Bartniku w Stróżach, a ojciec Georga wygłosił specjalne podziękowanie dla pani kelnerki.

– I nikt nie opowiadał niemieckich dowcipów: „Jedź na urlop do Polski, twój samochód już tam jest”?

– Mówiłam: nie było żadnych uprzedzeń i stereotypów, była świetna atmosfera i dobra zabawa. Chociaż jeden wujek faktycznie nie przyjechał na wesele, bo kupił sobie nowy samochód i chyba się o niego obawiał. Poza tym oni są bardzo rodinni, w taki sposób jak lubię.

– Czyli jednak. Co się od tego momentu zmieniło?

– Jak to u nas mawiają: nic wiele. Sensacji nie było, zresztą nie byliśmy w moim małym miasteczku pierwszym polsko-niemieckim małżeństwem. Nadal dużo podróżujemy na trasie Bobowa – Braunschweig, bo z moim wykształceniem chyba nikt tam na mnie nie czeka z ofertą pracy. Z kolei Georg pracuje jako wychowawca w specjalnym ośrodku wychowawczym, więc w Polsce też miałby kłopot ze znalezieniem zajęcia odpowiadającego jego kwalifikacjom. No ale przecież jesteśmy bardzo oryginalnym małżeństwem.

Niemiecki punkt widzenia

Rozmowa z GEORGIEM HARTIGIEM – mężem Lucyny, pedagogiem socjalnym z Brunszwiku

– Pamiętasz pierwsze spotkanie z Lucyną?

– Bardzo dokładnie. W 2004 r. na międzynarodowym spotkaniu młodzieży w Niemczech w pobliżu Celle, pewnie o tym wspominała. Przez dwa tygodnie świetnie się bawiliśmy

– Ale mówiła też, że raczej nie zwróciła na nią uwagi.

– Ależ skąd. Lucyna od początku bardzo mi się podobała. Przyznaję, że byłem dośyć zajęty, bo odpowiadałem za cały obóz i może nie zauważyłem wielu małych sygnałów. Staram się być bardzo profesjonalny i być może przez to trochę zdystansowany.

– Chyba jednak całkiem zdystansowany nie byłeś, skoro niedługo później tak ochotczo ruszyłeś do Polski na spotkanie.

– To było tak: w dniu wyjazdu odwiedziliśmy grupy busami na dworzec autobusowy w Hanowerze, a Lucyna siedziała w moim busie. Rozmawialiśmy bardzo żywo, a ona zaprosiła mnie do Polski i do siebie do Bobowej. Przede wszystkim zaskoczyła mnie stwierdzeniem, że jestem bardzo sympatycznym człowiekiem, o bardzo miłym głosie. Byłem mile zaskoczony, bardzo mi to schlebowało i cieszyłem się z tego komplementu.

– A dlaczego zdecydowałeś się przyjechać do Polski miesiąc po obozie?

– Z jednej strony chciałem przyjąć zaproszenie Lucyny, bo bardzo ją lubiłem, no i nigdy wcześniej nie byłem w Polsce. Z drugiej strony względy formalne – musiałem mieć podpisaną listę uczestników przez całą polską grupę. Udało się połączyć obydwie te powody.

– Co wiedziałeś o Polsce, kiedy zmierzałeś autostradą A4 w kierunku Bobowej?

– Wiedziałem od znajomych i z telewizji, że Polska to bardzo piękny kraj, że wiara katolicka bardzo mocno kształtuje społeczeństwo. Miałem też świadomość, że naród polski również ucierpiał pod rządami nazistów w czasie II wojny światowej. To dzięki Polakom ten wyjazd stał się możliwy, bo z mojego punktu widzenia, to tutaj rozpoczął się upadek reżimu komunistycznego w Europie. Wiedziałem też, że wiele osób z Polski wyjeżdża do innych krajów na całym świecie, aby tam pracować.

– Znasz jakieś niemieckie dowcipy o Polsce i Polakach, są podobno bardzo popularne?

– Niestety nie mogę ci w tej sprawie pomóc. Nie interesują mnie takie żarty, bo często mają dla mnie charakter dyskryminacyjny. Nie umiem żadnego powtórzyć.

– Mogłbyś mieszkać w Polsce na stałe?

– Mogę sobie wyobrazić życie w Polsce. Mam jednak duży problem: po prawie 17 latach, tyle jesteśmy razem z Lucyną, niestety nadal nie umiem mówić po polsku. Język polski jest dla mnie bardzo trudny (śmiech). Jednak chyba dużo rozumiem, gdy Lucyna rozmawia po polsku z rodziną lub przyjaciółmi. Od czasu do czasu na portalach internetowych szukam pracy dla pracowników socjalnych w Polsce. Ale jak dotąd nie znalazłem nic odpowiedniego. Z drugiej strony nawet nie wiem, czy Lucyna chciałaby, że bym był z nią cały czas ... (śmiech).

– Co lubisz w Polsce, a co Cię tu denerwuje?

– Po pierwsze: kocham moją żonę Lucynę i jestem bardzo szczęśliwy oraz wdzięczny, że jest ważną częścią mojego życia. Bardzo lubię też rodzinę mojej żony, która od początku przyjęła mnie otwarcie i ciepło. Lubię też przyjaciół Lucyny, którzy serdecznie mnie powitali w swoim gronie.

Dla mnie Polskę charakteryzuje niesamowita ilość pięknych miast, krajobrazów i bogata oferta kulturalna. Poza tym kuchnia polska jest niesamowicie pyszna. Bardzo podobają mi się polskie wybrzeża Bałtyku i Tatry Wysokie. Ludzie w Polsce, przynajmniej ci, których do tej pory poznałem, są niezwykle przyjaźni i ciepli. Do tej pory nigdy nie miałem wrażenia, że jako Niemiec nie byłbym mile widziany w Polsce. Jestem za to bardzo wdzięczny.

Oczywiście jest też kilka rzeczy, które niekoniecznie mi się podobają. Na przykład zatłoczone autostrady z wieloma ściegaczami, którzy narażają innych na niebezpieczeństwo i korki na autostradach. Nie rozumiem też polskiego systemu opieki zdrowotnej i tego, że za wszystko trzeba płacić, mimo że ma się ubezpieczenie zdrowotne. Irytuje mnie też obecny polski rząd, bo moim zdaniem jest on zbyt antyeuropejski i antyniemiecki.

– Jak zareagowali Twoi znajomi, że poślubiłeś polską nauczycielkę religii?

– Rodzina i przyjaciele przyjęli Lucynę z otwartymi ramionami, przynajmniej z mojego punktu widzenia, a religia nigdy nie była problemem. Oczywiście mój ojciec był trochę zirytowany na początku, kiedy powiedziałem mu, że mam polską partnerkę. Kiedy jednak ją poznał, „lody pękły” i wziął ją sobie do serca. Lucyna i ja byliśmy razem bardzo długo, dopóki nie podjęliśmy decyzji... Nie, inaczej, dopóki Lucyna nie zdecydowała, że musimy się pobrać (śmiech). Stało się to dość szybko. We wrześniu – październiku 2010 r. było jasne, że pobierzemy się w grudniu w Bobowej. Teraz wyzowaniem było zdobycie niezbędnych dokumentów i przetłumaczenie ich. Poza tym moi rodzice nic nie wiedzieli o tym planie. Oczywiście moja rodzina była na początku zszokowana, ponieważ to wszystko działo się dla nich za szybko. Jednak zaakceptowali naszą decyzję, a moi przyjaciele to specjalnie uczcili...

Religia, Lucyna katoliczka i ja protestant, nie jest problemem dla mojej rodziny i przyjaciół. Myślę, że wynika to również z faktu, że w moim środowisku i dorastaniu w Dolnej Saksonii przynależność religijna i wiara w ogóle nie odgrywały tak centralnej roli w społeczeństwie jak w Polsce. Ze względu na ścisły rozdział Kościoła i państwa, Kościół w Niemczech nie ma tak silnego wpływu społecznego, jaki widzę w Polsce. Ważniejsze dla mojej rodziny i przyjaciół jest i było to, że Lucyna i ja kochamy się i chcemy być razem.

Nie wyobrażam sobie życia bez żony, nawet jeśli często jest to bardzo trudne, ponieważ łączy nas „związek na odległość” i zbyt często się nie widzimy. Nierzadko zdarzają się sytuacje, w których chcemy być razem, ponieważ potrzebujemy wsparcia i bliskości. Szczególnie ciężko było w zeszłym roku, kiedy nie mogliśmy się widywać przez prawie cztery miesiące, ponieważ granice były całkowicie zamknięte z powodu pandemii i nikt nie mógł podróżować. Mogę mieć tylko nadzieję, że ta pandemia wkrótce się skończy.



Łaska zaślepienia jest do miłości koniecznie potrzebna

»→ Rozmawia Katarzyna Gajdosz-Krzak

Wydawnictwo RTCK (Rób To Co Kochasz) w Nowym Sączu wydało książkę jednego z najbardziej rozpoznawalnych kaznodziei w Polsce o. Adama Szustaka – „Rodzinne pole minowe”. Do tej publikacji dołączone są ćwiczenia rozwojowe pt. „Manewry rodzinne”, autorstwa sądeczanina IRENEUSZA TROJANA. Z nim i jego żoną MAGDALENĄ rozmawiamy o sprawach naprawę intymnych.

– Mam rozmawiać z małżeństwem, które prowadzi poradnię rodzinną przy parafii kolejowej w Nowym Sączu. Wyobrażam Was sobie jako parę, której bliżej już do wnuków, a tu widzę bardzo młodych ludzi, którzy pewnie dopiero co się pobrali. Mam ochotę zapytać, czy na pewno jesteście na właściwym miejscu? Co Wy możecie wiedzieć o rodzinie? I czy często z taką reakcją jak moja się spotykacie?

Magdalena Trojan: – (śmiech) Przyznam, że nie, bo jednak częściej mamy do czynienia z narzeczonymi, dla których organizujemy spotkania przedmałżeńskie, niż z dojrzałymi małżeństwami. To ludzie młodszy od nas, więc ich reakcje raczej są pozytywne. Nie czują dystansu wynikającego z wieku. A po drugie – i dlatego się zaśmiałam – my tylko tak młodo wyglądamy.

Ireneusz Trojan: – Na szczęście oboje (śmiech). W tym roku będziemy obchodzić dziesiątą rocznicę ślubu. W sumie masz rację, jak ludzie nas nie znają i dowiadują się, jaki mamy staż małżeński, reagują zdziwieniem: „Myśleliśmy, że jesteście dwudziestolatkami, zaraz po ślubie”.

– Co Was skłoniło, żeby zająć się poradnią rodzinną przy parafii?

MT i IT (jednocześnie): – To długa historia... (śmiech)

IT: – Opowiesz, czy ja mam mówić?

MT: – Mów Ty.

IT: – Historia zaczyna się od narodzin naszego drugiego dziecka. Madzia miała po raz drugi cesarskie cięcie. To była trudna cesarka, po której lekarz ginekolog wziął mnie na rozmowę do gabinetu, mówiąc dokładnie, co się wydarzyło. Posługiwał się medycznymi sformułowaniami, których nawet nie jestem w stanie przytoczyć, ale ogólna konkluzja jego wypowiedzi brzmiała: „Przy trzecim dziecku będę musiał dokonać wyboru, czy przeżyje żona, czy przeżyje dziecko”. Mam wrodzoną niechęć do autorytetów, nikomu nie wierzę na słowo, więc zweryfikowaliśmy to u trzech innych ginekologów. Każdy powiedział to samo. Musieliśmy znaleźć więc sposób, żeby nie żyć w tak zwanym białym małżeństwie, czyli, mocno upraszczając, bez seksu do końca życia, ale też mieć pewność, że do poczęcia nie dojdzie. Pigułki, hormonalne środki odrzuciliśmy od razu. Prezerwatywa, jak się okazuje,



Magdalena i Ireneusz Trojanowie z dziećmi

jest najmniej skuteczna. Wówczas Madzia rzuciła hasło „kalendarzyk”.

MT: – Przed ślubem byliśmy na standardowej poradni, w dodatku prowadziła ją kobieta, która sama o sobie powiedziała, że jest starą panną i o metodach wyznaczania płodności niewiele nam powie. Wiedzieliśmy więc tyle, co większość narzeczonych, która przychodzi na nasze spotkania przed ślubem – że jest jakiś kalendarzyk małżeński, o którym krążą różne legendy i mity.

IT: – A że tonący brzytwy się chwycił, to postanowiliśmy zgłębić temat.

Szukaliśmy małżeństwa, które ma dzieci i ten „kalendarzyk” stosuje. Znaleź-

miszę od biskupa i certyfikat naturalnych metod rozpoznawania płodności. Ponieważ tematy związkowe zawsze były nam bliskie, zgodziliśmy się.

MT: – Te tematy związkowe wynikały z tego, że jako pierwsi wśród naszych znajomych pobraliśmy się, pierwsi też mieliśmy dzieci. Kiedy oni zaczęli planować ślub, później dziecko, zawsze dzwonił do nas po poradę. Widzieli, że jako małżeństwo dogadujemy się, kochamy.

IT: – Ale też znali nas wcześniej. Jedną z naszych znajomych, kiedy dopiero zaczynaliśmy z Madzią tworzyć związek, mówiła, że nie przetrwamy ze sobą nawet pół roku. Nie dawała nam szans.

IT: (śmiech) – Z tym oczywiście wiąże się kolejna historia. Ale powiem w skrócie – bo jak widzisz, my to potrafimy tak godzinami gadać – że my z jezuitami to jesteśmy związani od liceum, zresztą u jezuitów, na Ducha, poznaliśmy się. A w ogóle to ja przez trzy lata byłem jezuitą.

– Magda, to Ty wyrwałaś Irka z zakonu?

MT: – Wyrwałam byłego już zakonnika. Z Irkiem znaleźliśmy się zanim jeszcze wstąpił do zakonu. Byliśmy w liceum, poznaliśmy się we wspólnocie Magis na Ducha, którą zakładał o. Mirek Jajko.

IT: – Ja wtedy z jezuitami miałem tyle wspólnego, że chodziłem do nich na mszę. Któregoś dnia przeczytałem,

ciągnęło do Irka, a jego do mnie, ale jakoś nie mogliśmy się zejść. Pamiętam, że kiedy w końcu uznałam, że może spróbuję coś zaaranżować, cały plan przysł. Moja ciocia wychodziła za mąż. Dostałam zaproszenie na wesele z osobą towarzyszącą. Pomyślałam, że to dobra okazja, aby pójść tam z Irkiem. Mówię mu o tym, a on na to: „Chętnie poszedłbym z tobą, ale właśnie idę do zakonu”. I tak mi zwiął (śmiech).

IT: – Ja wtedy od roku rozważałem, czy iść do zakonu. W końcu się zdecydowałem. Jednak po dwóch latach nowicjatu oraz kolejnym scholastykacie w Krakowie uznałem, że to jednak nie moja droga. Wystąpiłem z zakonu i nie miałem za bardzo gdzie się podziać. Wtedy Madzia zaproponowała wspólne mieszkanie.

MT: – Ale żeby była jasność, to było mieszkanie studenckie. Było nas tam trzy dziewczyny w jednym pokoju, i dwóch chłopaków w drugim. Wszyscy znaleźliśmy się ze wspólnoty. Irek miał być trzeci. Niewiele później, po jego przeprowadzce do nas, zostaliśmy parą.

– To tam docieraliście się przed ślubem?

IT: – No tak, to właśnie znajomi, którzy mieli okazję widzieć nas na co dzień, jak się sprzeczamy, nie dawaliśmy szans przetrwaniu naszemu związkowi. Ja byłem strasznie zaborczy o Madzię. Najchętniej wszędzie bym za nią chodził. Ale to wynikało z mojej troski o nią.

MT: – Tak, złota klatka i siedz tam. Buntowałam się przeciw takiemu traktowaniu. Moją wadą było z kolei, że zawsze się spóźniałam. A dla Irka to bardzo ważna sprawa.

IT: – Na pierwszą randkę aż pół godziny!

– Nawet teraz, gdy to opowiadasz, marszczysz czoło.

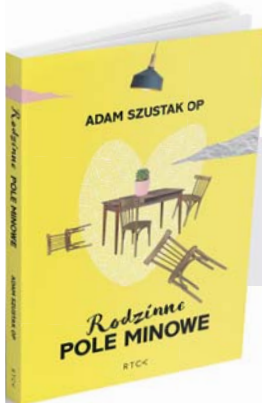
IT: – Bo kiedy Madzia to wypomniałem, dziwiła się, że mam o to pretensję i obraziła się na mnie na trzy dni (śmiech).

MT: – Jak patrzymy na naszą drogę, na rozwój naszego związku, widzimy, ile czasu musieliśmy poświęcić na to, żeby pracować nad relacją, jaką mamy teraz ze sobą. Samo się nie robi. I to też nie jest dane na stałe. Cały czas musimy pielegnować naszą relację.

– „Prawdziwa miłość zaczyna się w nas wtedy, gdy zajmujemy się w drugim człowieku nie tym, co nas w nim fascynuje, ale w tym, co jest w nim słabe, beznadziejne, cierpiące [...]” – pisze o. Szustak, w swojej najnowszej książce, która miała być punktem wyjścia naszej rozmowy, zanim mnie zagadaliście.

IT: – (śmiech) Lojalnie, zanim zaczęliśmy rozmawiać, uprzedziliśmy, że lubimy gadać.

– Tego cytatu z o. Szustaka chyba można użyć na podsumowanie tego, o czym mówiliśmy o sobie?



Dla naszych Czytelników mamy do rozdania książki Wydawnictwa RTCK, w tym najnowszą o. Adama Szustaka. Otrzymają je osoby, które jako pierwsze wyślą e-mail na adres redakcja@dts24.pl w tytule wpisując hasło „Rodzinne pole minowe”.

liśmy taką parę w Tarnowie. Nauczyli nas metody Rötzera, którą zaczęliśmy stosować i skutecznie robimy to do dziś. Jej również uczymy na zajęciach w poradni rodzinnej osoby przygotowujące się do ślubu.

– Ale nadal nie wiem, jak ta metoda planowania rodziny zaprowadziła Was do objęcia poradni?

IT: – Otóż, po jakimś czasie okazało się, że Sylwia – ta z tej pary z Tarnowa – jest diecezjalną doradczynią życia rodzinnego, opiekuje się wszystkimi doradcami, ze wszystkich poradni. Skontaktowała się z nami, mówiąc, że rusza dwuletnie diecezjalne studium rodziny, że potrzeba młodych małżeństw, które zajęłyby się poradniami. Uznała, że skoro poznaliśmy i stosujemy naturalną metodę rozpoznawania płodności, to jesteśmy dobrymi kandydatami. Trzeba było „tylko” zdobyć

MT: – Bo my z Irkiem non stop kłóciliśmy się. O wszystko.

IT: – Kłóciliśmy się, to delikatne słowo.

MT: – Oboje mamy charaktery. Ale to nas skłoniło do tego, że trzeba znaleźć drogę, żeby się dogadać. Oboje bowiem byliśmy przekonani, że chcemy ze sobą być. Ja studiowałam wtedy pedagogikę, Irek filozofię, a to kierunki skłaniające do rozmów i poszukiwań. Kiedy więc już byliśmy małżeństwem i widzieliśmy parę non stop przychodzące do naszego domu, zadające mnóstwo pytań, to uznaliśmy, że chyba trzeba coś z tym zrobić. Przypuszczając, że może z tego wyniknąć coś dobrego dla innych, zdecydowaliśmy się na to dwuletnie studium, a po jego ukończeniu przejęliśmy poradnię u jezuitów.

– Przyszliście do jezuitów i tak po prostu oświadczyliście: „Przejmujemy poradnię”?

że organizują rekolekcje „Szkoła kontaktu z Bogiem. Trzy dni w milczeniu”. Jak zauważyłaś, dużo gadam, ale wtedy gadałem jeszcze więcej.

– Chcesz powiedzieć, że można bardziej (śmiech)?

IT: – (śmiech) No tak. Mój przyjaciel, któremu powiedziałem, że jadę na te rekolekcje, też mnie wyśmiał. Uznał, że nie wytrzymam nawet dnia w milczeniu. Koniec końców pojechał do Łagiewnik, gdzie się odbywały te rekolekcje, razem ze mną. Wytrwałem w milczeniu. Ale nie o tym miałem mówić. Pod koniec tych rekolekcji, gdy już byliśmy spakowani i gotowi do wyjazdu, zawitał do nas o. Mirek Jajko, bo był akurat przejazdem. Zaproponował wstąpienie do wspólnoty Magis, którą niedawno utworzył. Po powrocie z rekolekcji, zapisałem się. Madzia już tam była.

MT: – Tworzyliśmy fajną paczkę przyjaciół. W sumie już wtedy mnie



MT: – Trzeba wziąć pod uwagę, że wszyscy mamy wady. Wejście w związek z założeniem, że ja go zmienię, od początku jest skazane na porażkę.

IT: – Założenie, że ta druga strona przepracuje swoje wady i one w pewnym momencie znikną, też jest skazane na porażkę. Ale z drugiej strony łaska zaślepienia (czyli ten początkowy etap fascynacji) jest do miłości koniecznie potrzebna. Gdyby człowiek od razu wiedział, ile nerwów kosztować go będzie budowanie relacji z drugą osobą, bez tej początkowej fascynacji pewnie by nie zdecydował się nigdy wejść w żaden związek.

MT: – Wchodząc w małżeństwo – mówimy to też na zajęciach w poradni – dobrze założyć, że nawet jeżeli ta druga osoba coś przeszkobi, zrobi coś złe, warto mieć przeświadczenie, że ona nie chciała mnie zranić. Nie mogę jako żona wychodzić z założenia, że mąż chciał mi dokopać. Jeśli w mojej głowie wytworzy się przekonanie: „On nie miał złych intencji”, od razu otwiera się przestrzeń na rozmowę i wyjaśnienia. To daje nam poczucie wolności i pozwala wyciszyć trudne emocje.

– Jak oceniacie kondycję rodzin, przez pryzmat Waszej pracy w poradni parafialnej?

MT: – Do nas rzadko przychodzą małżeństwa z problemami. Przy poradni nie ma bowiem psychologa, a my nie chcemy wchodzić w nie

swoje buty. Takie pary, jeśli się pojawiają, odsyłamy już do specjalistów.

IT: – Widzimy przeskok w relacjach małżeńskich pokolenia naszych rodziców, a tym, jak to teraz wygląda. Niemniej przyczyna kryzysów w związkach wydaje się być zawsze taka sama. Po prostu ludzie nie rozmawiają ze sobą na poważne tematy, nie mówią o problemach. To dostrzegamy również wśród naręczonych.

MT: – Bardziej niepokojące jest to, że nie tylko nie rozmawiają o problemach, ale nawet o swoich planach, marzeniach, potrzebach. Wydaje im się, że się kochają, są ze sobą. Ale tak naprawdę ślizgają się po tym związku. To wszystko, co między nimi, jest gdzieś na powierzchni. Tymczasem w relacji z drugim człowiekiem chodzi o wejście głębiej.

IT: – Żyje ciało przy ciele, ale nie dusza przy duszy.

MT: – Najtrudniej nazwać nam swoje uczucia. Wejść na inny poziom rozmowy niż tylko: „Co tam w pracy?”, „A dobrze”.

IT: – Jeśli się chce wejść głębiej w relację, trzeba się rozbroić. To trudne, bo stajemy przed kimś zupełnie bezbronni. Obnażamy swoje słabości, więc gdzieś z tyłu głowy pojawia się lęk, czy ta osoba, choć jest najukochańszą na świecie, tego nie wykorzysta.

– Nikt tak nie potrafi zranić, jak osoba bliska, która nas dobrze zna?

IT: – No tak, najbardziej cierpiemy od tych, których najbardziej Kochamy. Dlatego to założenie, że ta druga osoba nie chce źle, jest w tym momencie najlepsze. Oczywiście zakłada to dobrą wolę i chęć budowania związku obu stron, ale to temat na inną rozmowę.

– Czy „Rodzinne pole minowe” o. Adama Szustaka są takim drogowskazem, jak budować czy też może już odbudowywać relacje w związku?

MT: – Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć budować relacje.

IT: – Ta książka jest i dla osób, które wchodzą na drogę małżeństwa, jak i dla tych z dziesięcio- czy dwudziestoletnim stażem. Choć trzeba podkreślić, że przeczytać tę książkę jest łatwo, ale popracować nad postawami i przyjąć rozwiązania, o których pisze ojciec Szustak, to już jest grubsza sprawa.

MT: – Ojciec Szustak mówi w niej między innymi o jednej bardzo fajnej i ważnej rzeczy, którą praktykujemy od początku naszego małżeństwa. Raz w roku zostawiamy dzieci i jedziemy gdzieś sami na cały weekend. To ważny punkt dla budowania relacji. Mamy czas tylko dla siebie.

IT: – Raz w miesiącu też chodzimy na randki. No może teraz nie, bo sytuacja pandemiczna nam nieco ograniczyła możliwości. Ale chodzenie na randki polecamy wszystkim małżonkom.



O. Adam Szustak i Ireneusz Trojan

REKLAMA

Hyundai Tucson Nowej Generacji.

Przestronny. Bezpieczny. Nowoczesny. Gotowy na Ciebie.



WIKAR

Nowy Sącz, ul. Węgierska 168

tel. 18 414 0 413, e-mail: hyundai@wikar.pl



5-letnia Gwarancja Bez Limitu Kilometrów Hyundai dotyczy jedynie tych samochodów Hyundai, które były sprzedane Klientowi końcowemu przez Autoryzowanego Dealera Hyundai na warunkach opisanych w książce gwarancyjnej. Szczegóły dot. propozycji cenowej i programu gwarancyjnego, w tym wyłączeń gwarancji, dostępne są u autoryzowanych Dealerów Hyundai.



Partnerzy wydania:





Rozmowa z ROMANEM KLUSKĄ – przedsiębiorcą, twórcą i byłym prezesem spółki Optimus

– Nie trzeba być ekspertem w dziedzinie ekonomii, aby spodziewać się, że przed nami trudny czas. Jak się do niego przygotować? Jak przetrwać kryzys?

– Na początek proponowałbym zastanowić się, dlaczego tak bardzo obawiamy się tych zmian, dlaczego czujemy poważne zagrożenie. Myślę, że nieczęsto w historii, być może nigdy, nie mieliśmy do czynienia z taką sytuacją, gdy równocześnie na tyłu frontach toczy się walka, której stawką jest nowy porządek rzeczywistości, nowy podział wpływów na tę rzeczywistość. A są to fronty decydujące o naszym życiu. Pierwszy związany jest z naszą kulturą i tradycją. Przez dwa tysiące lat nasze wartości były oparte na chrześcijaństwie. Mieliśmy przez te dwa tysiące lat stabilny system wartości i lepiej lub gorzej przestrzegając zasad tego systemu zapewnialiśmy rozwój cywilizacji w części świata, w której żyjemy. Dziś mamy do czynienia z próbą podważania tego systemu wartości, wypromowania wartości przeciwnych. Kolejny front dotyczy dewaluacji wartości związanych z demokracją. Byliśmy przyzwyczajeni do przekonania, że demokracja to troska o każdego obywatela, o przysługujące mu podstawowe prawa, jakimi są na przykład swoboda wypowiedzi, wolność słowa, ochrona życia. A dziś – proszę zobaczyć co się dzieje: w sferze ochrony życia osób najbardziej bezbronnych, czyli najmłodszych i najstarszych, zderzamy się z rzeczywistością, w której pozbawienie życia niektórzy uważają za cywilizacyjną zdobycz, za nowoczesność. W sferze wolności słowa jest podobnie. Pamiętam swój zachwyt demokracją w Stanach Zjednoczonych w latach 90. Jako człowiek w średnim wieku, który doświadczył realnego socjalizmu, odwiedzając Stany Zjednoczone byłem zafascynowany tym, że każdemu obywatelowi wolno było swobodnie wypowiadać się, wyrażać dowolne poglądy. Proszę sobie wyobrazić, jak ja się czuję jako człowiek od 25 lat zauroczony amerykańską wolnością po ostatnich wydarzeniach w USA. To, co znałem jako jeden z najgorszych objawów realnego socjalizmu: totalną cenzurę wypowiedzi, widzę nagle w kraju, który podziwiałem za demokratyczne wartości. Doszło do oceniania urzędującego prezydenta, do ograniczenia mu możliwości wypowiedzi. Czy pani sobie wyobraża, jaki to dla mnie szok? Coś, co było dla mnie niedoścignionym wzorcem, ideałem, do którego powinniśmy w Polsce dążyć, nagle przepoczwarza się w moje najgorsze doświadczenie znane z czasów realnego socjalizmu. Zablokowanie czyjegoś wystąpienia w telewizji, bo jakiemu cenzorowi się nie podoba, wyłączenie komuś konta w mediach społecznościowych, bo innemu cenzorowi się nie podoba? To ma być mój ideał swobody wypowiedzi i wolności słowa? I nie chodzi o to kto jest prezydentem, tylko o pewien wzorzec wartości, który prysnął jak bańka mydlana. Kolejny front walki został pięknie opisany w książce, którą ostatnio

Można śmiało powiedzieć, że jestem największym gangsterem RP

» Rozmawia Iwona Kamieńska



Roman Kluska

wszystkim polecam: „Koniec pieniądza papierowego”, w której autor, Roland Baader, niemiecki przedsiębiorca doskonale obeznany w realiach Unii Europejskiej, ostrzega przed tym samym zjawiskiem, przed którym ostrzegał papież Jan Paweł II. Oba te wybitne umysły ostrzegają nas przed tym, że demokracja może przepoczwarzyć się w system totalitarny. Jan Paweł II napisał wprost, że jeśli przemiany będą następować poprzez całą masę ograniczeń dla człowieka i tworzenie prawa regulującego niemal w każdej dziedzinie nasze postępowanie, to w pewnym momencie pod piękną nazwą „demokracja” będziemy mieli kolejny system totalitarny. Polecam każdemu zajrzeć do dzieła, która stanowi Jego testament: „Pamięć i tożsamość”. Baader przewiduje to samo: przemiany polityczno – gospodarcze jakich doświadczamy, pchają nas w stronę systemu, który znamy jako realny socjalizm, tylko na innym poziomie wytwórczości.

– Ponawiam pytanie: co z tym wszystkim, o czym Pan mówi, możemy zrobić?

– Niejeden raz rozmawiając z przedstawicielami rządów, wszystkich, nie tylko obecnego, starałem się przekonać, że ten proces sprawowania władzy przez nieustanne dodawanie nowych regulacji, czyli postępujące ograniczanie wolności obywatela, prowadzi do samozagłady, ale jak dotąd efekty mojego przekonywania są niewielkie. Zresztą autor książki „Koniec pieniądza papierowego” przewidział, że efekty uświadamiania władzy są skazane na niepowodzenie. Wskazał jednak inną drogę: uświadamianie społeczeństwa. Celem powinno być osiągnięcie stanu w miarę powszechnej świadomości społeczeństwa dokąd politycy pod pięknymi hasłami chcą nas doprowadzić, co jest istotą forsowanych i wdrażanych przemian,

że to wszystko ubrane w piękne słowa o postępie, lepszym życiu, lepszym jutrze, sprawiedliwości społecznej, to są slogany, które mają zakryć przed ludźmi zagrożenia, o których wspominałem. Na efekt uświadamiania władzy nie liczyłbym już. Ale jeżeli świadomość szerzącego się zła będzie coraz większa, to jest nadzieja, że władza nagle zderzy się ze społeczeństwem reprezentowanym nie przez posłusznych klakierów, tylko przez myślących obywateli, zatroskanych o przyszłość swojej ojczyzny. Każda władza taki elektorat musi wziąć pod uwagę. I taką właśnie drogę zalecił Roland Baader zwracając uwagę, że nie ma najmniejszego sensu apelowanie, prośenie.. Nie ma sensu jakikolwiek dialog z władzą. Na rządzących realnie działa tylko realna świadomość wyborców.

– Proszę jednak zauważyć, że wnikliwy, krytyczny wyborca zatroskany o przyszłość swojej ojczyzny, może być w rozterce. Partia „A” nie sprawdza się, partia „B” nie sprawdziła się X lat temu, partia „C” głosi ideały kompletnie wyborcy obce. Nie ma na kogo zagłosować.

– To nie tak działa. Nie ma kluczowego znaczenia to, która partia jest u władzy. Popatrzmy jak pięknie do tego zagadnienia podszedł prezydent Ronald Reagan. Aktor, człowiek wielkiego umysłu, choć niemający znaczącego doświadczenia biznesowego, zostaje prezydentem USA. Korzysta więc z podpowiedzi dobrego doradcy. Ten zaś zdaje sobie sprawę z tego, że nawet jego partia, która szczerze chce zmian, po objęciu władzy szybko zorientuje się jaką skalę władztwa po poprzednikach dostała i zaniecha reform. Reagan przejmował władzę po demokratach, którzy w poprzedniej kadencji zdemolowali amerykański system tworząc całą masę niepotrzebnego

prawa trzymającego na uwięzi społeczeństwo, a zwłaszcza gospodarkę. I zrozumiał, że nawet jego sojusznicy, nastawieni patriotycznie, chcący swój kraj rozwijać, jeśli obejmą ważne funkcje i zobaczą korzyści, apanaże, przywileje, prawo stworzone w taki sposób, że praktycznie nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to co robią, jeśli dostrzegą wygodę takiego sprawowania władzy, to nie będą chcieli nic zmieniać dla dobra narodu. Prezydent – elekt przekonał się, że wszystkie reformy musi zrobić zanim jego ludzie zdążą zasiąść w wygodnych fotelach i zacząć robić wszystko, aby uzyskanych przywilejów nie stracić. Problem w tym, że nawet gdybyśmy mieli do wyboru partię bliską ideałowi, to w momencie gdy ta partia dobierze się do tak zwanego „żłoba”, przepoczwarza się w partię samą dla siebie, a jej głównym celem staje się utrzymanie wszechwładztwa zdobytego w wyborach. W związku z tym, jeśli chcemy zrobić reformy, to muszą one nastąpić tuż po przejęciu władzy. Żeby te reformy zostały wprowadzone, nie jest nam wcale potrzebna nowa partia, lepsza od dotychczasowych. Każda istniejąca partia, chcąc nie utracić władzy, dostosuje się do wymogów rozsądnego elektoratu, bo chęć utrzymania władzy będzie dla niej priorytetem. Przypomnijmy sobie moment, który potwierdza tę tezę i który nastąpił pod koniec realnego socjalizmu. Doczekaliśmy się wówczas wspaniałej rynkowej reformy Wilczka. Kto tę reformę zrobił? Komuniści!

– Ustawa Wilczka otworzyła drogę Romanowi Klusce i Optimusowi...

– Dokładnie tak. Ta ustawa spowodowała, że powstał Optimus i wiele innych firm, dziś prężnie działających. To był milowy krok w rozwoju polskiej gospodarki. I powtórzę ponownie: ten

krok wykonali komuniści, którzy podobno nie znali się na gospodarce rynkowej ani na wolnym rynku. Zrobili to po to, aby utrzymać władzę.

– Widzi Pan jakiś wytrych, którym jest szansa raz jeszcze otworzyć te same drzwi?

– Świadomość elektoratu. Te drzwi otworzył wówczas elektorat, który miał dość realnego socjalizmu. Bo kluczem zawsze jest elektorat świadomy, dobitnie podkreślający: nie chcemy dłużej żyć w tym ustroju, nie chcemy tego sposobu sprawowania władzy, zniewolenia prawem, ubezwłasnowolnienia na każdym kroku, sytuacji, w której niby mam kawałek ziemi, ale nie mogę na niej nic postawić bez zgody jakiegoś urzędniczyny. Gdzie jest miejsce dla wolności, dla własności, jeśli mam na swoim polu drzewko, którego nie wolno mi wyciąć?

– Ale przecież mnóstwo Polaków, mnóstwo wyborców, niezależnie od tego, którą partię poparli, ma tę świadomość i gotowość do dobitnej manifestacji, że mamy dość zniewolenia, dość arogancji władzy. I cóż z tego?

– Może większość w naszym regionie. My jeszcze od czasów Cesarstwa Austro-Węgierskiego jesteśmy najbardziej niepokorną społecznością w Polsce, najbardziej przywiązaną do wolności. Nawet aparat PRL nie poradził sobie z naszym przywiązaniem do wolności. We wsi, w której zamieszkałem, jak powiedział mi wójt, ponad połowa domów w PRL powstała bez zezwolenia. Chłop wiedział: buduję dom na swoim, to moja ziemia, moja ojcowizna i wara mi tutaj z urzędnikami. Gdzie pani znajdzie drugie takie miejsce? I te domy stoją. Nakazy rozbioru wszyscy mieli w głębokim poważaniu, więc władza nawet ich nie wysyłała, a później przyszła ustawa legalizacyjna...

Myślę, że potrzebna nam jest praca organiczna, choć jest to praca niezwykle trudna i wymaga tego, aby zaakceptować ewentualność przeżycia cierpienia, które jest często punktem zwrotnym w naszej świadomości. W cierpieniu, w kryzysie, w tym czego się boimy, w zagrożeniu jest nadzieja.

Z jednej strony Baader przewiduje, że władza wykorzysta obiektywne zagrożenie lub wymyśli jakieś zagrożenie po to, żeby pod płaszczykiem dobra, niby w trosce o obywatela, przeforsować w imię swoich celów najbardziej absurdalne dla społeczeństwa rozwiązania, a z drugiej strony – cierpienie w stanie zagrożenia powoduje opamiętanie, refleksję i budowę od nowa. I właśnie w tym zagrożeniu, być może w cierpieniu, które stanie się naszym udziałem, jest światło, tym jaśniejsze, im bardziej uświadomimy sobie powód cierpienia, im lepiej zrozumiemy, że władza chcąc umacniać swoje władztwo, posunę się do każdej niegodziwości, aby utrzymać pozycję. Generalnie ludziom władzy najlepiej jest w systemie totalitarnym, więc świat dąży w stronę socjalizmu, komunizmu. Proszę zobaczyć jak wiele mamy dziś elementów charakterystycznych dla państwa socjalistycznego, powodujących powszechną demoralizację, ilu jest ludzi, którzy chcieliby nic nie robić, ale jednocześnie mieć. I żeby



wszystkie dobra świata podzielono równo... To są bardzo chwytliwe hasła i niestety bardzo łatwo to przyjmujemy, bo każdy z nas chciałby dostać coś za darmo. Tylko zapominamy, że żeby dać komuś cokolwiek za darmo, wcześniej trzeba to skądś wziąć, więc władza musi kogoś ograbić. Najsilniejszy potrafią sobie z tym problemem poradzić, więc kto zostanie ograbiony najbardziej dotkliwie? Średni i słabi. Trzeba o tym pamiętać słysząc slogany o rozdawaniu czegośkolwiek za darmo.

– Kryzys „zdmuchnie” nam klasę średnią?

– Klasa średnia eliminowana jest systemowo i to jest właśnie to, z czym zwracałem się do wielu przedstawicieli elit władzy, którzy rządzą Polską przez ostatnie 20 lat. Tłumaczyłem, że klasa średnia jest klasą kluczową dla dobrobytu każdego społeczeństwa. Dlaczego? Dlatego, że jest to klasa niezależna od władzy, bo swoimi rękami, swoją pracą, osiąga to, co ma. Klasa średnia nie jest niewolnikiem rządzących, więc na te wszystkie slogany, jakimi operują, najtrudniej się nabierać... Problem w tym, że klasa średnia ciężko pracuje i nie ma dostępu do elit. Dostęp mają za to korporacje i wielka grupa ludzi potężnego biznesu. Duet władzy i korporacji ma szansę wprowadzić totalitaryzm w nowej odsłonie, tylko najpierw musi pozbyć się klasy średniej, niezależnej od władzy. Bo gdzie można wprowadzić totalitaryzm? Tam, gdzie większość społeczeństwa jest od władzy zależna. Władza daje papu, władza rozdaje pieniądze, władza wymyśliła taką inwigilację i takie prawo, że bez zgody urzędnika praktycznie nic nam nie wolno. To już niemalże realny socjalizm. Kto się temu opiera? Opiera się tylko klasa średnia, bo jest niezależna.

Ta klasa potrzebuje tak niewiele – tylko czegoś na wzór przywołanej wcześniej ustawy Wilczka dającej szansę na dobrobyt wszystkim, którzy chcieli pracować. Proszę zauważyć jak Polska się wtedy pięknie i szybko rozwijała, pomimo że nie było infrastruktury, nie było kapitału. Wiem, ile w mojej firmie ludzi kupiło sobie wtedy za własną pensję samochody, ilu wybudowało sobie domy, ilu przeszło ogromną transformację w zakresie poziomu życia. Dlaczego tak się działo? Bo była wolna konkurencja. Nie mieliśmy absolutnie żadnych barier biurokratycznych. Liczyła się tylko jakość oferty rynkowej firmy i jakość pracy pracowników na rzecz tej firmy. Funkcjonująca w takich realiach firma, bez balastu ograniczeń rozwijała się bardzo szybko. A wraz z nią bogacili się ludzie, bo żeby rozwijać się szybko, firma musiała dbać o swoich pracowników. Wciąż brakowało nam pracowników, więc przyjmowaliśmy wtedy do pracy wszystkich, którzy chcieli pracować. Miałem w Optimusie przezwisko: najlepszy związek zawodowy. Bo wiedziałem, że tylko zadowolony, szczęśliwy pracownik będzie pracował dobrze dla mojej firmy. U nas nikt nawet nie wpadł na pomysł, żeby założyć związek zawodowy. Po co, skoro szef jest najlepszym związkiem zawodowym.

– A później zaczęło się tworzyć prawo na kilogramy...

– ...które wyhamowało każdą firmę. I proszę zobaczyć: tu mamy sedno duszenia klasy średniej. Optimus całe szczęście był już wówczas na tyle duży, że jak zauważyłem – każda nowa ustawa w zasadzie nie była dla nas barierą, a ja właściwie nie musiałem nawet wiedzieć o nowych ustawach. Firma miała prężny dział prawny, pracownicy robili to, co do nich należy, tworzyli sprawozdania, pisali jakieś wnioski, dostawali jakieś zgody. Ale kiedy byliśmy mniej-

przedsiębiorcy nie mogą pracować, więc chcąc utrzymać firmę przy życiu tracą wszystko, cokolwiek dotychczas zarobili. Czasem oszczędności nie wystarczą, więc muszą brać kredyty. A przy chciwości banków kredyty dobijają drobnych i średnich przedsiębiorców, podczas gdy duże korporacje mają każdą ilość pieniądza jaką zechcą mieć, bo emitują obligacje zerowe skupowane przez banki centralne.

– Mówi Pan głosem protestujących przedsiębiorców, którzy wychodzą na ulice z ha-

Kluczem zawsze jest elektorat świadomy, dobitnie podkreślający: nie chcemy dłużej żyć w tym ustroju, nie chcemy tego sposobu sprawowania władzy, zniewolenia prawem, ubezwłasnowolnienia na każdym kroku

si, każdy nowy akt prawny był dla nas zmorą, hamulcem spowalniającym efektywność o 20, czasem o 50 procent. Proszę sobie wyobrazić jak ten hamulec działa w małej firmie, w której pracuje jeden, dwóch, trzech ludzi. Zamiast zarabiać, muszą wypełniać papierki, więc nie pracują, nie zarabiają, tylko realizują zadania narzucone przez biurokrację i firmę ginie. Zmorą Polski jest zwyczaj tworzenia prawa jednakowego dla wszystkich firm, bez względu na poziom ich rozwoju. Mamy na nieszczęście te same regulacje dla wszystkich. To bodaj najsilniejszy czynnik eliminacji klasy średniej. Dla dużych firm wyzwania wynikające z tych regulacji są obciążeniem nieznaczącym, dla

ślami góralskiego czy sądeckiego „veto”, bo czują się bezradni.

– Czują się bezradni, bo nie mają dostępu do władzy, a władza od wielu lat – niezależnie kto sprawuje władzę, tylko udaje, że się nimi przejmuje. Dla władzy korzystna jest likwidacja niepokornych dusz i powszechne ulokowanie ludzi w korporacjach lub na garnuszku państwa jako pracowników, którzy otrzymują pieniądze z budżetu poprzez socjal albo przez zatrudnienie w państwowych urzędach i firmach. Dla władzy taki system jest idealny. Nikt im w takim systemie nie podskoczy.

– Wie Pan, co czytając Pana słowa poczuje przeciętny Kowalski z klasy śred-

wielka demoralizacja, ważny jest „papiererek” a nie dobro człowieka.

– Nie korci Pana, żeby uciekać z Polski?

– Dotychczas w ogóle nad taką opcją nie zastanawiałem się. Jestem patriotą. Moi rodzice walczyli o Polskę, tato był w partyzantce, nie wyobrażam sobie dla siebie innego miejsca na świecie niż przepiękna Polska i Polacy.

– Przepiękna, ale bywa trochę jak „femme fatale”. Rozumiem decyzje ludzi, którzy ratują się ucieczką „za chlebem” i „za wolno-

ścią”, gdy czują, że ich piękna ojczyzna zbyt mocno dociska śrubę...

– Ależ mnie to też było dane. Proszę sobie wyobrazić moją krzywdę wynikającą z aresztowania i to, co czulem, gdy zrobiono ze mnie największego przestępcę. Zakładając, że po wielkości kaucji można rozeznaczyć „ciężar” przestępczych czynów, można śmiało powiedzieć, że jestem największym gangsterem RP. Przynajmniej wedle prokuratury i sądów, które wielokrotnie podtrzymywały decyzje prokuratury. Rozmawia pani zatem z największym gangsterem RP.

To, że pani dziś rozmawia z takim Romanem Kluską, który widzi te problemy, który dzieli się swoimi spostrzeżeniami, zawdzięczamy moim

Jeśli popadnę w pychę i zatrzymam się w pracy nad sobą, to mam powody, żeby się martwić, ale gdy się uzbroję w pokorę, każdy problem On, nie ja, rozwiąże.

małych – bywają nie do przeskokczenia. Tymczasem mała firma jest największym „wymuszaczem” postępu i innowacyjności. Nie ma żadnego bagażu, nie ma zapasów w magazynie, więc tryska pomysłami. Realizując te pomysły małe firmy wymuszają bardzo dynamiczny postęp i innowacyjność na firmach średnich, a średnie – wymuszają na dużych. Jeśli małe firmy zamiast wymyślania i wprowadzania w życie innowacyjności zajmują się papierkami, to po pierwsze – nie zarabiają i często nikną z rynku, a po drugie – nie zagrażają średnim. Średnie wtedy nie zagrażają dużym i mamy marazm, coraz więcej monopolu, (bo duże firmy kontrolują rynek i dogadują się ze sobą), mamy wręcz coraz większe koszty dla małego człowieka i coraz większe zyski dla dużych firm. Za te zyski korporacje wykupują za grosze mniejsze firmy osłabione biurokracją.

Pandemia to kolejny silny czynnik ograniczający klasę średnią. Już nie mówię o tym, że drobni i średni

nie? To można streścić w jednym słowie: „ratunku”.

– Uratuje nas świadomość tego procesu. Przecież ja nie mówię, że mamy w Polsce złą władzę. Proces, o którym mówię, to proces niemal światowy. Nie tylko polski bank w tej chwili rozdaje pieniądze. Nie tylko u nas drukowane są dziś puste miliardy, dla których nie ma pokrycia ani w towarze ani w zasobach złota. Gdzie my mamy teraz wolny rynek? W której branży mamy jakąkolwiek wolność? Bliżej nam do socjalizmu. I coś jeszcze: zanika odpowiedzialność za jakość pracy. Jeśli postępuję zgodnie z przepisami, to mogę robić dowolne szkody, mogę niszczyć środowisko, mogę zatruwać ludzi, mogę robić złe rzeczy, byle były zgodne z procedurą. Nie liczy się dzisiaj, dzięki wszechobecnym regulacjom, czy robię dobro, czy zło, czy moje produkty są zdrowe, smaczne. Liczy się tylko to czy procedury zostały dochowane. Jedna

prześladowcom. Cierpienie, jakiego doświadczyłem, spowodowało, że zacząłem szerzej patrzeć na rzeczywistość. Wygodnie było być szefem dużej firmy, tkwić w klimacie komfortu, postępu, nowoczesności, ze świadomością, że mogę mieć w zasadzie wszystko, co oferuje świat. Bo jeśli się jest szefem tak dużej firmy, to w zasadzie jest człowiekowi dobrze.

– Pan wybronił się z opresji, ale nie każdy posiada takie oręż jakim Pan dysponował, czyli łaskę wiary i tę rzadką umiejętność błogosławienia cierpienia...

– Tylko dzięki cierpieniu potrafiłem te głęboko „zaszyte” w mojej świadomości standardy, przemienić w zastanowienie się nad rzeczywistością, nad sensem „grubej kreski”, nad słowami Jana Pawła II o kolejnym systemie totalitarnym, który może nas zaskoczyć. Refleksja w cierpieniu stworzyła mi oczy i zbudowała nowego człowieka. Dziś nadal doświadczam najprzeróżniejszych cierpień i trudnych sytuacji, bo życie

dla nikogo nie jest usłane różami, ale mając tamtą refleksję i świadomość wszystkiego, co pozwoliło mi przetrwać trudny czas, co było i jest nadal prawdziwym oparciem. Nawet widząc zagrożenia dla siebie i dla rodziny, nie jestem przerażony. Jestem spokojny, można powiedzieć – szczęśliwy. Zaraz wytłumaczę dlaczego. Tak jak pani powiedziała – moje oparcie wynika z wiary. Żeby w tej wierze i w Opatrzności mieć oparcie, trzeba najpierw głębokiego rozeznania: czy jestem przypadkowym produktem ewolucji czy jestem dziełem Stwórcy. To jest trochę tak, jak z budowaniem firmy. Żeby stworzyć prężną firmę nie mając kapitału, wiedzy i większego rozeznania, trzeba zainwestować przeogromną ilość wysiłku. Jestem przedsiębiorcą, więc używam analogii z bliskiej mi dziedziny. W rozeznanie, które doprowadzi do pewności, że nie jestem przypadkowym produktem ewolucji, też trzeba zainwestować. Jeśli zainwestuję i dojdę do przekonania graniczącego z pewnością, uzyskuję silne oparcie, które sprawia, że moje problemy rozwiązują się, że nawet największy kłopot i zagrożenie owocuje sukcesem.

Ale trzeba sobie na to rozeznanie zapracować, zainwestować czas i pracę. Nie da się tego zrobić ani w dzień, ani w tydzień, ani nawet przez rok. Ja właściwie od młodości szukałem odpowiedzi na to pytanie. Przecież nie ja wygrałem z systemem, który chciał mnie zniszczyć. W zniszczenie mnie zaangażowano cztery resorty, proszę zwrócić uwagę jakich użyto sił: wojska, ministerstwa finansów, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych. Nie miałem w starciu z takim przeciwnikiem żadnych szans.

– Widuje Pan się czasem z ludźmi, którzy byli przyczyną Pana cierpienia?

– Odpowiem inaczej: dziś daje mi ogromną radość modlenie się za nich. Nie mam do nich najmniejszego żalu. Oni byli elementem systemu, być może bez świadomości zła w jakim brali udział. Wyrosli jeszcze w realiach PRL i stali się świetnymi fachowcami od zniewolenia, profesjonalistami, z którymi obywatel nie ma żadnych szans.

– Myśli Pan, że są tego świadomi, że żalują?

– Nie. Oni są potrzebni każdej władzy. Jest im nadal dobrze. Nadal są fachowcami, szkolą następców.

– To smutne...

– Pani żartuje! Skoro kocha mnie Ten, który może wszystko i On się mną opiekuje, skoro tyle razy przeprowadził mnie z sytuacji bardziej niż bardzo trudnych i nigdy się na Nim nie zawiodłem? To smutne? To nie jest tak, że to oparcie raz działa, a raz nie działa. To działa zawsze. Nawet jak jest cierpienie i wszystko się wali – to wiem, że to jest dla mojego dobra choć tego teraz nie pojmuję. Pod warunkiem, że jestem na tej drodze, którą świadomie wybrałem. Jeśli popadnę w pychę i zatrzymam się w pracy nad sobą, to mam powody, żeby się martwić, ale gdy się uzbroję w pokorę, każdy problem On, nie ja, rozwiąże. To daje spokój.

WYPRZEDAŻ

WSZYSTKIE SKLEPY CZYNNE OD 01.02.2021



RESERVED

CALZEDONIA

medicine
EVERYDAY THERAPY

MANGO

sinsay

home&you

Douglas

Stradivarius

Bershka

CCC

H&M

4F



Stara Kolonia – kolejarska wyspa

» Jerzy Widel

W 1890 r. zapadła decyzja o powstaniu osiedla dla pracowników kolei. Pierwszych 37 domków oddano do użytku w dwa lata później. Projekt przewidywał budowę około stu, z regularną szachownicową siecią uliczek. Osiedle sfinansowano z tzw. funduszu prowizyjnego Kolei Państwowych.

Oprócz parterowych (bliźniaków), dwurodzinnych domów pobudowano w kolonii osiem piętrowych czterorodzinnych i kilka wielorodzinnych. Tym samym sądecka kolonia kolejowa stała się jednym z największych tego typu założeń urbanistycznych w całej Galicji. Nowemu Sączowi przybyła prężna dzielnica, powstała w pobliżu dworca kolejowego i Warsztatów Kolejowych, między ulicami Zygmuntowską, Kolejową, Batorego i Sienkiewicza. Budowę kierował inż. Julian Miszke.

Staraniem pracowników Warsztatów i węzła kolejowego Generalna Dyrekcja Kolejowa we Lwowie zleciła budowę szkoły podstawowej, którą oddano do użytku 16 września 1897 r. Jej patronem od początku był król Władysław Jagiełło.

W tym samym roku rozpoczęto budowę kościoła kolejowego pod wezwaniem św. Elżbiety. Zaprojektował go uznany lwowski architekt Teodor Talowski. Wierni mogli korzystać ze świątyni już w następnym roku.

W 1911 r. władze kolejowe wybudowały 35 kolejnych domków parterowych i piętrowych. W 1917 r. siedem, a także przychodnię i łaźnię przy ulicy Kolejowej. Dopiero po odzyskaniu niepodległości, w 1920 r., wybudowano za Warsztatami, w kierunku południowym,

budynki jednopiętrowe, wielorodzinne tworząc tzw. Nową Kolonię Kolejową.

Stara Kolonia jest świetnie zachowanym do dziś – unikatowym w skali kraju osiedlem robotniczym. W 1972 r. Wojewódzka Rada Narodowa w Krakowie uchwaliła jej zburzenie i wybudowanie w tym miejscu konwencjonalnego osiedla blokowego. Na szczęście zamach na ten zabytkowy organizm urbanistyczny nie udał się z powodu energicznego sprzeciwu konserwatora zabytków.

Do 1990 r. przydziałem mieszkań w Starej i Nowej Kolonii zawiadywał specjalny oddział administracji mieszkaniowej PKP w Krakowie i dział socjalny Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Potem nastąpił wolny rynek kapitalistyczny i lokatorzy, najemcy lokali mogli wykupić mieszkania za niewielkie pieniądze. Każdy właściciel mógł zmodernizować swoje lokum pod konserwatorskim nadzorem. Poprawił się standard mieszkań.

Kiedyś dzielnica zaniedbana, po której ulicach płynęły niejednokrotnie nieczystości, zmieniła się nie do poznania. Została skanalizowana, zgazyfikowana. Dawno, dawno temu obciachem było mieszkać w Starej (biednej) Kolonii. Dzisiaj jest tam dużo zieleni, spokój, cisza. Wybudowana z myślą o Braci kolejarskiej, dzisiaj straciła kolejarski charakter. Bo i kolejarzy jest jak na lekarstwo w Nowym Sączu, przecież pracownicy Newagu a wcześniej ZNTK (od lat 50-tych) nie są kolejarzami. Obecnie na palcach jednej ręki można policzyć rodziny mieszkające w Starej Kolonii, które mają jakikolwiek związek z koleją. Tak zniknęła z krajobrazu miasta kolejarska wyspa. Tylko architektonicznie przypomina o dawnych mieszkańcach.

Dawno, dawno temu obciachem było mieszkać w Starej (biednej) Kolonii. Dzisiaj jest tam dużo zieleni, spokój, cisza





Bracia Węgrzyn zakładają własną wytwórnię filmową

»→ Katarzyna Gajdosz-Krzak

Rozmowa z MICHAŁEM WĘGRZYNEM, sądeczaninem, reżyserem wchodzącego jesienią do kin filmu „Gierek”

– „Gierek” to nietypowa dla Ciebie produkcja – pierwszy w Twojej karierze film historyczny. Skąd w ogóle pomysł na „Gierka”?

– To był ciężki rok dla mnie i Wojtka [brat Michała, operator filmowy – przyp. red.]. Film historyczny, kostiumowy nakładał na nas dużą odpowiedzialność, bo zdajemy sobie sprawę, że „Gierek” będzie wzbudzał bardzo wiele kontrowersji. Jesteśmy już po montażu. Film wejdzie do kin w październiku. A skąd pomysł na „Gierka”? To trzeci film, który robimy z naszym producentem Januszem Iwanowskim z Global Studio. Był zadowolony z pracy z nami przy „Procederze” i później przy „Krime Story” (ukaze się w kinach w listopadzie), dlatego zaproponował, abyśmy zrealizowali jego marzenia – film „Gierek”, nad którym pracował wiele lat. Od razu z Wojtkiem zgodziliśmy się, bo to dla nas ogromne wyróżnienie, a także wyzwanie.

– Co Ty właściwie o Gierku wiedziałeś, otrzymując tę propozycję, bo ja znalazłam



Na planie filmu „Gierek”

tylko z dzieciństwa powiedzonko „Chcesz cukierka? Idź do Gierka...”?

– Ja mniej więcej wiedziałem tyle co ty. Kiedy jednak dostałem od Janusza propozycję nakręcenia filmu, kupiłem kilka książek na temat Gierka i dosyć szybko je przeczytałem. Okazuje się, że Edward Gierek był bardzo ciekawą osobą i wiódł ciekawe życie. Już samo to, że pierwsze lata swojej młodości i pracy spędził we Francji i Belgii, jest

intrigujące. To tam doświadczył dorosłego życia, które miało wpływ na to, jakim był politykiem. Ten film to opowieść o wielkiej wojnie jednego człowieka. On ją próbował wygrać. A czy to mu się udało? Ci, którzy znają historię, wiedzą, że nie. Reszta zobaczy to w filmie. Dla mnie ważne jest, że mogliśmy skorzystać z wizji jego syna Adama Gierka, a także wizji ekonomisty profesora Pawła Bożyka, który był

osobistym doradcą I sekretarza, i całej masy ludzi w tym naszego producenta, dla którego to temat życia. Tworzenie scenariusza i praca przy „Gierku” były niezwykle ciekawe właśnie przez to, że mogliśmy poczuć, że jesteśmy blisko prawdy. Udało nam się pokazać rzeczy, o których wielu Polaków nie wie i które mogą całkowicie zmienić spojrzenie na ekonomistę, jakim był Edward Gierek.

– Główną rolę zagrał Michał „Misiek” Koterski, ale w filmie zobaczymy też członków Twojej rodziny, która nie pierwszy raz mocno angażuje się w Twoje produkcje. To zdaje się zaowocowało nowym projektem – Familia Pictures?

– W „Gierku” zobaczymy moich braci: Kubę i Waldka, który zagrał Adama Gierka. Dotychczasowe nasze produkcje określiliśmy po prostu Bracia Węgrzyn. Działalem z Wojtkiem, który jest operatorem. Ale w związku z tym, że z każdym filmem coraz więcej braci dołączało się do nas i nam pomagało, to postanowiliśmy założyć spółkę, która będzie realizowała filmy – głównie rodzinne [...].



Więcej na ten temat dowiesz się, słuchając rozmowy z Michałem Węgrzynem w programie Genialni Lokalni Globalni Studio DTS:

<https://www.youtube.com/watch?v=8zELMIDrgs&t=2s>

REKLAMA



Nissan X-Trail / Juke / Qashqai

Zyskaj do 18 000 zł



WIKAR

Nowy Sącz ul. Węgierska 168 – Tel: 18 414 04 20

www.nissan.wikar.pl

NISSAN
INTELLIGENT
MOBILITY

Zdjęcia są jedynie ilustracją. Dane i fakty podane w niniejszej reklamie służą wyłącznie celom informacyjnym i nie stanowią oferty zawarcia umowy. W celu uzyskania bliższych informacji prosimy skontaktować się z autoryzowanym dealerem Nissana. Oferta jest ważna dla umów podpisanych z klientami w okresie od dnia 9/11/2020 do dnia 31/12/2020. Promocja dotyczy modeli Nissan Juke, Nissan Qashqai oraz Nissan X-Trail z rocznika produkcji 2020. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym WLTP: Nissan X-Trail: 6,5 - 8,5 l/100 km, emisja CO₂ 171 - 208 g/km, Nissan Qashqai: 5,3 - 7,3 l/100 km, emisja CO₂ 138 - 184 g/km, Nissan Juke: 5,9 - 6,5 l/100 km, emisja CO₂ 135 - 147 g/km. Zużycie paliwa i emisje CO₂ podano zgodnie z obowiązującymi przepisami europejskimi.



Czuje wydawniczy głód

» Rozmawia Dariusz Grzyb

Rozmowa z PAWŁEM LEŚNIAKIEM – pisarzem, byłym piłkarzem

– Po pięciu latach wracasz na wydawniczy rynek. „Czas na sen”, który dopiero pojawił się w księgarniach, już zbiera dobre recenzje. Długo czekałeś czekać na swoją kolejną opowieść, dlaczego?

– To była zdecydowanie zbyt długa przerwa. Nie tylko dla czytelników, ale również dla mnie. Co nie znaczy, że byłem nieaktywny w tym, co robię. Po wydaniu książki „Przed północą”, postanowiłem spróbować sił w branży gier komputerowych i stworzyć grę przygodową na podstawie swojej pierwszej powieści „Równowaga”. Napisałem scenariusz, zebrałem zespół i spróbaliśmy. Po pięciu latach zaowocowało to wydaniem gry „Devil’s Hunt” w wersji PC. Wykorzystując doświadczenie, jakie nabyłem przy przedstawianiu historii z zupełnie innej perspektywy, napisałem książkę „Czas na sen”, która premierę miała 27 stycznia i z niecierpliwością czekam na odbiór czytelników.

– Czy możemy po takiej przerwie spodziewać się, że teraz ruszysz ostrzej do pracy nad kolejnymi książkami? Pandemia chyba pisarzom sprzyja. Siedzisz w domu i... piszesz. Myślę się?

– Pandemia przyczyniła się do tego, że nowa książka jest dla mnie wyjątkowo ważna. Po tym jak zamknięto nas w domach, pierwszy raz w życiu miałem okazję napisać powieść skupiając się na niej od początku do końca. Zawsze było coś z boku, piłka nożna, rysunki czy inne obowiązki. Teraz mogłem dać z siebie wszystko, stąd taka ciekawość odbioru tytułu. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość, natomiast nie mam zamiaru zniknąć z rynku wydawniczego i chciałbym wydawać kolejne powieści.

– Czyli czujesz głód wydawniczy i za chwilę zasypiesz rynek kolejnymi pozycjami?

– Brakowało mi tego to na pewno. Emocji przy wydaniu książki, przeżywania jej wspólnie z bohaterami w trakcie pisania i najlepszego – czyli konstruktywnej rozmowy z osobami, które ją przeczytają i wymieniają się spostrzeżeniami. Jestem z powrotem i nigdzie się na ten moment nie wybieram.

– Może nie wszyscy nasi Czytelnicy znają Twoją twórczość. Gdybyś krótko miał im zaprezentować siebie, zachęcić do swoich publikacji...

– Dla mnie zawsze bardzo istotną kwestią w powieści jest tempo oraz trzymanie napięcia. W moich książkach dużo się dzieje, więc ktoś, kto sięgnie po mój tytuł, może się spodziewać ciekawej fabuły, dobrego klimatu oraz sporo zwrotów akcji.

– Jak wygląda walka na rynku wydawniczym? To ciężki rynek?

– Bardzo ciężki. Czasy się zmieniły i na dzisiaj bardzo ważnym punktem jest umiejętność zwrócenia na siebie uwagi. Mnie bardzo pomogła piłka nożna, gdy napisałem pierwszą książkę, grałem I lidze w Sandecji Nowy Sącz. Było to dużym wydarzeniem, pisali o tym prawie w każdej gazecie i to pomogło mi dotrzeć do czytelników. Fakt, że do dziś czytelnicy interesują się moją twórczością, jest dla mnie



FOT. ARCH. P. LEŚNIAKA

W moich książkach dużo się dzieje, więc ktoś, kto sięgnie po mój tytuł, może się spodziewać ciekawej fabuły, dobrego klimatu oraz sporo zwrotów akcji

dowodem na to, że to, co piszę, im się podobą. Natomiast gdyby nie moja aktywność sportowa, wyróżnić się spośród tłumu byłoby niezmiernie ciężko.

– Wielu kojarzy Cię właśnie z piłką. Futbol to dla Ciebie już tylko hobby?

– Na profesjonalnym poziomie nie występuję już od ponad pięciu lat. Teraz jestem zawodnikiem Reprezentacji Polskich Pisarzy w piłce nożnej i systematycznie rozgrywamy pojedynki z pisarzami z innych państw. Zatem pomimo mojej emerytury piłkarskiej, wciąż utrzymuję formę i biegam po boiskach od czasu do czasu.

O czym jest książka „Czas na sen”?

Po sześciu latach od ucieczki z domu Taylor żyje spokojnie z dala od rodzinnego miasta, gdzie był nękany i wytykany palcami z powodu zaburzeń psychicznych i doświadczeń paranormalnych. Nagle otrzymuje telefon od matki, która przedstawia mu krytyczny stan zdrowia jego dwunastoletniego brata i bezsilność lekarzy, nie będących w stanie wybudzić go z głębokiej śpiączki. Taylor wraca w swoje rodzinne strony, wiedząc, że to co dzieje się z jego młodszym bratem jest skutkiem działania miejsca oraz istot, jakich lekarze nie wyobrażali sobie nawet w najgorszych koszmarach.

Wyścig o życie braciszka się rozpoczął. Przed Taylorem stoi zadanie powrotu do najczarniejszej przeszłości swego życia. Jak daleko posunie się, aby uratować brata? Szpital, do którego trafił, skrywa mroczne tajemnice świata, gdzie wstęp mają tylko umarli...

dts²⁴

Wydawca: Wydawnictwo DOBRE
Sp. z o.o. 33-300 Nowy Sącz,
ul. Żywiecka 25.
ISSN 2082-209X.
www.wydawnictwodobre.pl

Redakcja: „Dobry Tygodnik Sądecki”,
www.dts24.pl,
tel. 18 544 64 41,
redakcja@dts24.pl

Redaktor naczelny Wydawnictwa Dobre:
Wojciech Molendowicz,
w.molendowicz@dts24.pl

**Z-ca redaktora naczelnego
ds. tygodnika DTS:**
Jolanta Bugajska,
j.bugajska@dts24.pl

Redaguje Zespół:
Jerzy Cebula,
Monika Chrobak,
Katarzyna Gajdosz-Krzak,
Dariusz Grzyb
Iwona Kamieńska,
Agnieszka Małecką,
Kinga Nikiel-Bielak,
Natalia Nikiel,
Krystyna Pasek,
Ireneusz Pawlik,
Natalia Sekuła

Redaktor senior:
Jerzy Widel

Dyrektor Biura Reklam i Ogłoszeń:
Katarzyna Magiera,
k.magiera@dts24.pl,
tel. 530 032 633

Biuro Reklam i Ogłoszeń:
Bożena Baran,
b.baran@dts24.pl
Aneta Buczek,
a.buczek@dts24.pl,
tel. 570 689 311
Beata Ziemba,
b.ziemba@dts24.pl,
tel. 889 020 766

Dyrektor ds. kolportażu:
Mateusz Węglowski-Król,
tel. 665 270 230

Grafika i łamanie:
Piotr Płachta,
tel. 602 522 291

Druk:
Polska Press Grupa
Oddział Poligrafia Drukarnia Sosnowiec.

CZYTASZ SŁUCHASZ OGLĄDASZ

jedna gazeta, wiele możliwości

ts dobry tygodnik
sądecki

CZYTAJ,
SŁUCHAJ, OGLĄDAJ





Rozmowa z ZUZĄ BAUM, wokalistką, raperką, autorką tekstów, rodem z Nowego Sącza.

– Właśnie jesteś po premierze Twojego drugiego singla „Call Back”, zdobywasz wspaniałe recenzje, zaczynasz być dostrzegalna w świecie muzycznym, jak się z tym czujesz?

– Cieszę się, że mam to już za sobą, ale nadal jestem w samym środku tego, co się dzieje wokół mnie. Cały czas pracuję, zderzam się z feedbackiem, na szczęście pozytywnym. To jest bardzo motywujące. Ostatnio moja mama napisała do mnie: „Zuza, słysząc Cię w radiu Nowy Świat”. To jest niesamowite.

– „Call Back” powstał już w czasie pandemii. Jaki wpływ na Ciebie miała sytuacja przymusowego zamknięcia?

– Myślę, że większość ludzi miała moment kryzysu, ja jednak utonąłam w pracy i przez jakiś czas lockdown miał na mnie nawet korzystny wpływ. Natomiast teraz jest mi ciężko, ponieważ dla mnie największą satysfakcją jest występowanie na scenie. I tego zostałam pozbawiona, odcięta od emocji jakie daje kontakt z publicznością. Ciekawe jest to, że każda możliwość występu, w tym momencie, staje się pewnego rodzaju celebrazją, czymś wyjątkowym. A poza tym, dzięki pandemii, nauczyłam się cieszyć ze zwykłych rzeczy, spaceru, spotkania z ludźmi. Byłam ostatnio w Parku Narodowym w Ojcowie i patrzyłam zachwycona na to, co mnie otacza. Pierwszy raz w życiu tak bardzo cieszyłam się ze sniegu.

– Mówisz o zachwycie, ale tematem drugiego Twojego singla jest złość.

– Po długim czasie zamknięcia w czterech ścianach w każdym z nas rodzi się frustracja i złość. Ona nas ogranicza na wielu płaszczyznach, a co gorsze sprawia, że krzywdzimy siebie i swoich bliskich. Lekarstwem na te złe emocje jest zawsze miłość do siebie i innych. To starałam się przekazać w „Call Back”.

– Zuza Baum – nowa twarz sceny alternatywnej tworząca mieszankę rapu, hip-hopu i jazzu – tak właśnie określają Cię dziennikarze muzyczni, po wydaniu dwóch zaledwie dwóch singli masz wspaniałe recenzje. Ale Twoje początki jako wokalistki, były zupełnie inne. Grałaś rocka i to dość ciężkiego rocka. I to tu – w Nowym Sączu.

– Nowy Sącz był miejscem środowiskowo sprzyjającym temu, abym zajmowała się muzyką rockową. To też robiłam, poszłam za tym, co było w Sączu bardzo łatwo dostępne. Kazik, Pidżama Porno, Hey – to są moje początki. Miałam okazję posłuchać jazzu w Małej Galerii, gdzie spędzałam trochę wolnego czasu zarówno w okresie gimnazjalnym, jak i licealnym. Do tej pory wspominam jak skrzywiłam się na słowa Dawida Listosa „jazz jest jak oliwki, trzeba do niego dorosnąć”. No cóż, Dawid miał rację. Później wyjechałam na studia do Krakowa, zmieniłam środowisko, zaczęłam bywać na zupełnie innych koncertach. Soul i jazz skradły moje serce. Pierwszy raz usłyszałam takie

Hip-hop nie jest tylko „zabawą dla chłopaków”

»→ Rozmawia Ewelina Skowron-Ściurka



Zuza Baum

Nie stoi za tym żadna firma, nie mam ludzi od malowania, poprawiania mi włosów, nikt nie narzuca mi jak mam wyglądać. Dzięki temu moja praca staje się jeszcze bardziej interdyscyplinarna

znakomitości jak Erykah Badu – moja guru. Tak już pozostało.

– A jak wspominasz Nowy Sącz?

– Cóż jest to miejsce, które w jakiś sposób mnie ukształtowało. Do dziś z nostalgią i sentymentem mijam I LO przy ulicy Długosza, bo tam chodziłam do szkoły. Dla mnie Nowy Sącz jest miastem odpoczynku i spokoju.

– Twój pierwszy, debiutancki singiel „Project Away” ma w tym momencie ponad 80 tys. odsłon na youtube. Mówisz w nim o akceptacji samego siebie,

o miłości do siebie. To bardzo trudny temat. Jak radzisz sobie z własnymi obawami, czy też może kompleksami...

– Każdy z nas zderza się z problemami nieakceptowania czegoś w sobie. Ważne jest jednak to, aby bezustannie być w pewnym procesie. Procesie bycia uważnym na wybaczenie sobie i innym wielu rzeczy. Musimy akceptować własną niedoskonałość.

– „Project Away” to nie tylko Twój tekst, wokół, ale również pomysł i realizacja warstwy wizualnej teledysku.

– Wszystko, co wydaje, staram się wizualizować, jest to efekt mojej pracy z Naomi Muras, artystki pochodzącej z Rybnika, która teraz w Krakowie jest moją sąsiadką. Z dumą muszę przyznać, że teledyski i światło i montaż – to wszystko robimy same. Nie stoi za tym żadna firma, nie mam ludzi od malowania, poprawiania mi włosów, nikt nie narzuca mi jak mam wyglądać. Dzięki temu moja praca staje się jeszcze bardziej interdyscyplinarna. Chcę w ten sposób przekazać i słuchaczowi, ale również widzowi, pewną całość, która płynie z

mojego serducha. Dzięki temu to, co robię, może być pełniejsze, myślę, że jest to inne niż większość rzeczy, które spotykamy na youtube.

– Zachwycasz swoją dojrzałością wokalu, ale wiem, że miałaś problemy z głosem.

– Tak. Urodziłam się z wadą, z którą większość nauczycieli, na mojej drodze rozwoju muzycznego, nie do końca potrafiła sobie poradzić, uniwersalne sposoby kształtowania głosu nie działały w moim przypadku. Przez jakiś czas nie śpiewałam, później musiałam mieć rehabilitację głosu. Na szczęście trafiłam na super nauczycielkę, uczącą również w Nowym Sączu – to pani Izabela Mytnik, cudowna kobieta, to ona wyprowadziła mnie z gigantycznych problemów.

– Twoje teksty są bardzo kobiece, jak to się stało że zaczęłaś zajmować się hip-hopem, to dość nietypowy gatunek muzyczny dla kobiety, nie uważasz?

– Staram się nie dzielić muzyki na kobiecą i męską. Niestety, w Polsce hip-hop rzeczywiście jest jeszcze nadal postrzegany jako „zabawa dla chłopaków”. Mam wrażenie, że od dziewczyn wymaga się więcej, wymaga się, żebyśmy byłyśmy lepsze od facetów. Tymczasem mamy bardzo dobre raperki w Polsce, ale rzeczywiście jest to jeszcze taka przestrzeń, w której możemy się stresować jako baby. A jak to się zaczęło... okazało się, że moje teksty są bardzo długie i obszerne, zawierały dużo treści i najlepiej wpisały się w taki rodzaj przekazu.

– A jaka jesteś poza muzyką, jak wygląda Twoja codzienność?

– Moje życie to właśnie muzyka. No cóż... mieszkam w Krakowie na poddaszu, w mieszkaniu zawałonym instrumentami (śmiech). Dawniej wydawało mi się, że do tworzenia potrzebuje chaosu. Teraz wiem, że ważna jest również uporządkowana przestrzeń, po prostu musi być czysto i ładnie. Mam dwa psy, z którymi codziennie chodzę na spacer. A poza tym jest czas sesji, więc mam co robić. Właśnie jutro kolejny egzamin.

– O dziwo, początkowo chciałaś studiować coś niezwiązanego z muzyką...

– Miałam epizod studiowania filologii francuskiej, ostatecznie jednak zostałam studentką Akademii Muzycznej w Krakowie. Studiuję na wydziale jazzu, gram na flecie poprzecznym.

– Myślę, że o Zuzie Baum jeszcze wiele usłyszymy. Jakie są Twoje plany na przyszłość?

– Na przełomie marca i kwietnia tego roku planuję wydać EP-kę. Będzie w niej można usłyszeć kawałki zarówno w języku polskim jak i angielskim. A poza tym potrzebuję małych wakacji. Może wybiorę się nad Solinę lub odwiedzę Uście Gorlickie.

– A może wpadniesz do Nowego Sącza?

– Na pewno. Bardzo tęsknię za domem.

Z życia Miasta

www.dts24.pl
dts

Będzie kolejna stacja do ładowania pojazdów elektrycznych.

Jeszcze w tym roku na parking przy skrzyżowaniu Al. Piłsudskiego z ul. Prażmowskiego na tzw. JOJKU powstanie stacja do ładowania pojazdów elektrycznych. Będzie to urządzenie o mocy 77kW, które zamontuje firma Tauron. Ta inwestycja przyczyni się do poprawy jakości powietrza w naszym mieście.



Sala Kameralna w Miejskim Ośrodku Kultury po remoncie.

Zakończyły się prace związane z remontem Sali Kameralnej w Miejskim Ośrodku Kultury. Dzięki przeprowadzonym pracom Sala Kameralna może pełnić rolę samodzielnej sali widowisko-teatralnej.



Monitory interaktywne dla Szkoły Podstawowej nr 8.

Prezydent Ludomir Handzel przekazał monitory interaktywne dla uczniów i nauczycieli ze Szkoły Podstawowej nr 8. Urządzenia to wsparcie techniczne nauczycieli i duże ułatwienie w nauce dla najmłodszych uczniów. Podobne urządzenia trafią także do innych placówek.



29. Finał WOŚP w Nowym Sączu.

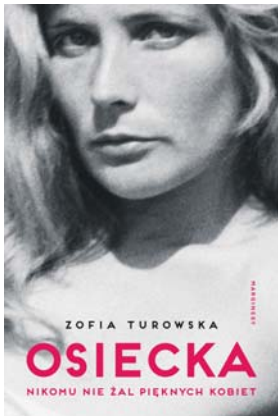
Z nami 29. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. 110. nowosądeckich wolontariuszy zbierało środki na wsparcie oddziałów dziecięcej laryngologii, otolaryngologii i diagnostyki głowy. Ze względu na obecną sytuację epidemiczną koncerty, pokazy i licytacje odbyły się w tym roku on-line i transmitowane były na żywo z Miejskiego Ośrodka Kultury. Do tej pory nowosądecki sztab Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zebrał ponad 145 tysięcy złotych. Czekamy jeszcze na wyniki aukcji internetowych.



50-lecie istnienia Chóru im. św. Jana Pawła II w Nowym Sączu – gratulacje od Prezydenta.

Prezydent Ludomir Handzel pogratulował pięknego jubileuszu mistrzowi i wirtuozowi organów Panu Stanisławowi Wolakowi. Pod datą 2 lutego 1971 roku odnotowano w kronice parafialnej, że swoją pracę w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Nowym Sączu rozpoczął mistrz i wirtuoz organów Pan Stanisław Wolak. Tym samym rozpoczęła się trwająca już pół wieku historia Chóru im. św. Jana Pawła II.





Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet

Zofia Turowska

Najlepszy z dotychczasowych portret Agnieszki Osieckiej – artystki, poetki, matki, żony, kochanki, dziennikarki i ówczesnej celebrytki PRL-u. Nie jest to jednak typowa biografia. Zawiera liczne wspomnienia przyjaciół Osieckiej, fragmenty jej pamiętników, opowiadań i wierszy, a także archiwalne zdjęcia wykonane przez samą Osiecką. Odkrywa nieznane fakty i przypomina te, które zatarł czas. Agnieszka Osiecka urodziła się w rodzinie, dla której kultura była jak powietrze. W ich domu spotykała się śmietanka towarzyska – może dlatego we wczesnej młodości zaczęła pisać pamiętnik (fikcyjny, w co nie chcieli wierzyć rodzice). Gdy ojciec opuścił ją i matkę, wszystko runęło: później to jego obwiniała za swój brak pokory. Zofia Turowska zebrała bardzo różnorodny materiał, a pisząc bezpretensjonalnie, nie wkracza w zbędne dywagacje. Pokazuje Osiecką pełną życia, wolną, niedającą się ograniczać konwenansom, lecz historie licznych perypetii miłosnych, skandali, związków małżeńskich i partnerskich opisuje z wyczuciem i dyskrecją.

WYDAWNICTWO MARGINESY



Ucieczka z Auschwitz

Alfréd Wetzler, przeł. Katarzyna Dudzic-Grabińska, Tomasz Grabiński

Oparta na faktach powieść uciekiniera z Auschwitz. Bohatera, którego odwaga uratowała życie dziesiątków tysięcy ludzi. Wiosną 1944 roku, po niemal dwóch latach nieustającego strachu, głodu, bestialskich mordów i nieludzkiego traktowania, dwóch słowackich Żydów uciekło z Auschwitz. Zabrali ze sobą dokumenty – plany obozu, krematoriów i komór gazowych, spisy tysięcy ludzi skazanych na śmierć tylko dlatego, że urodzili się w niewłaściwym kraju lub niewłaściwej rodzinie. Obaj wiedzieli, że bez twardych dowodów nikt nie uwierzy w nazistowskie piekło w obozie zagłady. Najbardziej przekonująca okazała się jednak etykieta zerwana z kanistra z cyklohem B, początkowo służącego do odkażania baraków i odzieży, później używanego do szybkiej i efektywnej eksterminacji więźniów.

Dzięki nim świat po raz pierwszy zyskał niepodważalne dowody na koszmar panujący za pilnie strzeżonym ogrodzeniem z drutu kolczastego.

WYDAWNICTWO MARGINESY

Języki zwierząt

Eva Meijer przeł. Alicja Oczko

Delfiny i papugi mówią do siebie po imieniu, nietoperze lubią plotkować, dziwogony żałobne naśladują wołania drapieżników, by odstraszyć inne zwierzęta i ukraść im kolację, a w pieśniach wielu ptaków i we wzorach na skórze kałamarnic można odnaleźć struktury gramatyczne. Nieświszczuki ze szczegółami opisują intruzów: ich rozmiar, kształt, prędkość, z jaką się poruszają. Te stworzenia nie stanowią wyjątku – większość zwierząt stadnych rozwinęło pełen niuansów system komunikacji: posługują się zapachami, dźwiękami, ruchami czy kolorami.

Eva Meijer omawia wiele przykładów zaczerpniętych z najnowszych badań. Pewna border collie nauczyła się nazw 1022 przedmiotów. Słonie w niewoli z czasem zaczynają używać słów, by komunikować się z ludźmi, a te żyjące na wolności mają na „człowieka” własne określenie. Humbaki śpiewają pieśni miłosne, trwające nawet dwadzieścia godzin. Współcześnie, dzięki technologii cyfrowej, naukowcy mogą nie tylko mapować i interpretować dźwięki wielu gatunków zwierząt, lecz także na nie odpowiadać. Ale biolodzy i etolodzy dopiero zaczynają rozumieć znaczenie tych niezwykłych sygnałów.

WYDAWNICTWO MARGINESY

Tyrmand. Pisarz o białych oczach

Marcel Woźniak

Kolorowe skarpetki, przelotne romanse, jazz? Nic o nim nie wiecie! Reporterska opowieść, z której wylania się nieznany dotąd obraz Leopolda Tyrmanda. Podróż śladami Leopolda Tyrmanda i ludzi, których wyobraźnią zawładnął, to scenariusz hollywoodzkiego filmu. Warszawskie zaułki, kalifornijskie bezdroża, nowojorski zgielk i moskiewskie mrozy. Reporterska opowieść o legendzie Warszawy i autorze „Złego” to historia znikania i powrotów. Gdy NKWD przystawia mu pistolet do głowy, Tyrmand w ostatniej chwili ucieka od zsyłki na Sybir. Gdy czeka go komora gazowa, zmienia tożsamość z polskiego Żyda na Francuza i jedzie do nazistowskich Niemiec. W Polsce jego książki znikają z księgarni w godzinę. Marek Hłasko nazywa go geniuszem, Witold Gombrowicz – spadkobiercą romantycznej tradycji, a Tadeusz Konwicki i Maria Dąbrowska połknęli „Złego” w jedną noc. Biografia Tyrmanda, to opowieść o optymizmie i wierze w szczęście, gdy nie ma się żadnych szans.

WYDAWNICTWO MARGINESY

Dla naszych Czytelników mamy książki od Wydawnictwa Marginesy. Jak je otrzymać?
Czytaj „Dobry Tygodnik Sądecki” i śledź nasz profil na Facebooku!

REKLAMA

WYDAWNICTWO

Dobre

MEDIA TOTALNE

ts dobry tygodnik sądecki

dts24.pl

STUDIO

dts

STREFA NAUSŁUCHU

PODCAST

dts WOLNA SOBOTA 24

Partnerzy wydania:

TRADYCJA FABRYKA OPIENIA

Ford Wikar

Muszynianka WODNA KUCHENKA

6 lutego 2020 | dobry tygodnik sądecki | 19

Doskonałość w nowym wymiarze



**Efektowne, szklane butelki
— wprost na elegancki stół**

Teraz możesz wybierać
— **mała butelka 0,3**
czy **duża 0,7 litra!**

Muszynianka

www.muszynianka.pl



Piotr Gorzawski

Cztery łapy



Pies rasowy. Czyli jaki?

Jaki to jest pies rasowy? Co to właściwie znaczy? Określenie psa rasowego powinniśmy łączyć z kilkoma cechami, a mówiąc inaczej z zestawem genów, jakie pies posiada. Te cechy to między innymi: wygląd, umaszczenie, wielkość, ale też predyspozycje do obrony, dogoterapii, polowania, oraz kwestie chorób, głównie tych dziedziczonych lub predysponowanych dla danej rasy. Tylko, kogo to wszystko obchodzi? A może inaczej. Czy to powinno nas obchodzić? Zdecydowanie TAK!

Zapewne niewiele osób ma świadomość, że obowiązujące przepisy prawa (Ustawa o ochronie zwierząt z 2012 roku) zabraniają rozmnażania psów, poza hodowlami, należącymi do ogólnopolskich stowarzyszeń kynologicznych. I tutaj zaczyna się ważna część całej historii o psach rasowych. Oprócz Związku Kynologicznego w Polsce, który jest jedyną krajową organizacją, będącą członkiem Międzynarodowej Federacji Kynologicznej FCI, powstało wiele ogólnopolskich

stowarzyszeń zwanych często organizacjami „Burka i Kocurka”. To dzięki przynależności do tych stowarzyszeń można, zgodnie z prawem, rozmnażać i sprzedawać psy.

Od kogo kupić psa?

Od razu zadajmy sobie kluczowe pytanie. Czy wybór, od kogo kupimy naszego psa, ma znaczenie? ZKwP posiada prawo do wydawania metryk/rodowodów, przyznawania uprawnień hodowlanych, tytułowania psów na organizowanych przez siebie wystawach oraz określa konkretne prawa i obowiązki dla zrzeszonych hodowców, kontrolując ich pracę hodowlaną. Skoro tak, hodowle zrzeszone w ZKwP mogą w pełni udokumentować pochodzenia psa, a to dla przyszłego właściciela oznacza większą pewność co do właściwych cech danej rasy.

Hodowca, który chce uzyskać uprawnienia hodowlane, musi podać swojego psa ocenie sędziego, który określa jego wygląd i zachowanie według ściśle ustalonego wzorca dla danej rasy. Określone są też obowiązkowe badania, w tym

np. prześwietlenia stawów, testy psychiczne czy próby pracy. Hodowcy niejednokrotnie rozszerzają te obowiązki o dodatkowe badania dla chorób predysponowanych w danej rasie, np. badanie serca, kręgosłupa, łokci, oczu, badanie genetyczne pod kątem nowotworów. Także kwestia krycia czy przeglądu miotu po urodzeniu również jest określona przepisami.

Jeśli chcemy więc odpowiedzieć sobie na kluczowe pytanie: od kogo kupić psa, musimy wiedzieć, że wiele stowarzyszeń i organizacji „Burka i Kocurka” nie stawia takich wymagań, a co z tego wynika, nie mamy pewności co do faktycznego stanu zdrowia szczeniaka i jego późniejszego wyglądu.

Przy tej okazji warto wspomnieć, jaki los spotyka psy „modnych” ras, które są nierzadko rozmnażane (dosłownie) w stodołach, cieciska po ciecisku. Dla osób prowadzących taki proceder najważniejsze jest, żeby psy przypominały daną rasę, dopóki jest na nią popyt, a cały biznes jest opłacalny. Co jednak, kiedy zainteresowanie spadnie? Odpowiedź

znamy z Internetu, gdzie niejednokrotnie opisywane są interwencje, podczas których zaniedbane czworonogi są odbierane ich właścicielom, albo co gorsza, kiedy niechciane psy są porzucane w lasach.

Rodowód potrzebny i już!

Są osoby, które twierdzą, że rodowód jest po to, aby zaspokoić snobizm właściciela. Ja tak nie uważam. Dzięki rodowodowi mamy wgląd w bezcenne informacje o przodkach naszego psa, o wynikach ich badań czy osiągnięciach wystawowych. W ten sposób możemy w przybliżeniu określić wygląd, charakter czy zdrowie psa. Jest to bardzo ważne, jeśli chcemy dopasować odpowiednią rasę do naszego trybu życia oraz, by zapewnić psu jak najlepsze warunki.

Pamiętajmy, że posiadając psa z rodowodem, wcale nie mamy obowiązku psa wystawiać, rozmnażać czy rejestrować. Możemy, ale nie musimy! Jeżeli jednak nie masz konkretnych wymagań co do wyglądu czy zachowania, zastanów się nad adopcją psa ze schroniska.

Staram się nigdy nie porównywać czy pies rasowy jest lepszy od kundelka. Uważam natomiast, że prawo powinno być bardziej surowe dla tych, co bezmyślnie zezwalają na rozmnażanie swoich psów. Zdarza się, że w efekcie trafiają one do i tak przepelnionych schronisk lub są porzucane przez swoich właścicieli.

Dlatego w mojej ocenie psy powinny być rozmnażane w sposób

świadomy i kontrolowany, szczenięta powinny być chipowane, a właściciele powinni odpowiadać prawnie za los swoich czworonogów.

Bardzo często pseudohodowcy próbują „oczarować” nas stwierdzeniami: pies bez rodowodu po rodowodowych rodzicach. Tu warto podkreślić, że jeśli ktoś sprzedaje szczenięta po rodzicach, które nie spełniły wymogów hodowlanych, to prawdopodobnie nie nadają się do tego, by je rozmnażać, głównie poprzez wady rozwojowe lub nieodpowiednią psychikę.

Pamiętajcie, że zanim się zdecydujecie na szczeniaka, warto sprawdzić, w jakich warunkach przebywają zwierzęta, czy mają odpowiednio dobrą jakość jedzenia, czy mają czysto, czy są odpowiednio socjalizowane, jak często matka rodzi młode (w ZKwP może raz w roku). Ważne, by sprawdzić książeczkę zdrowia, czy szczeniaki są odrobaczone i zaszczepione, sprawdzić czy w hodowli przed wydaniem szczeniaków był przeprowadzony przegląd miotu, który określa stan zdrowia poszczególnych szczeniąt. Jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości, poszukajcie innej hodowli.

Sprawdzajcie dokładnie wszystkie dostępne informacje, bo tzw. „czarne owce” zdarzają się wszędzie.

Piotr Gorzawski – hodowca, miłośnik zwierząt

Halina Czerwińska

Poradnik (nie tylko) dla rodziców



Kiedy dziecko się boi

Czy istnieją naturalne lęki u dzieci? Czy każdy lęk dziecka powinien budzić niepokój rodzica?

Rodzice najlepiej wiedzą, że bywają sytuacje w życiu, kiedy odczuwa się lęk. Kobieta będzie odczuwała lęk przed porodem, mężczyzna może bać się skoku na bungee. Rodzice mogą bać się pierwszego dnia pójścia dziecka do szkoły, dziecko będzie odczuwało obawę przed pierwszą jazdą na rowerze, itp. Są to naturalne lęki, które pozwalają na przystosowanie się do nowej sytuacji, właściwie przygotować się do nowego wydarzenia oraz odpowiedzialnie zachować. Lęk jest uczuciem, które pozwala na uspołecznienie, umożliwia dostosowanie się do zasad społecznych, sprawia, że dziecko zaczyna bezpiecznie funkcjonować

w życiu. Badacze rozwoju psychicznego dziecka (Lig, Ames, Baker, 2012) zwracają uwagę na etapy rozwojowe dziecka, którym w sposób naturalny towarzyszą lęki:

- u dwulatków są to lęki natury słuchowej: na głośne dźwięki czy też szmery;
- u trzylatków lęki wizualne przed czarownicami, potworami, zwierzętami;
- u czterolatek mogą wystąpić nasilone lęki związane z codziennym funkcjonowaniem w domu czy w przedszkolu, szczególnie może to być lęk związany z oglądaniem bajek, później nocne budzenie się i płacz, znamienne w tym wieku jest lęk przed ciemnością;
- u pięcioletków (według autorów badań) występuje najmniej lęków;
- u sześciolatek znów nasilać się mogą lęki na bodźce słuchowe, na

przykład dzwonek do drzwi, ale też może pojawić się lęk przed duchami, kosmitami, itp.

- u dzieci siedmioletnich może nastąpić spotęgowanie lęków związanych z oglądaniem bajek; - dzieci w wieku szkolnym zaczynają w szczególności bać się braku akceptacji ze strony nauczycieli i rówieśników, może też występować lęk przed obowiązkami szkolnymi;
- u dziewięcioletków znów pojawia się lęk silny przed zwierzętami, złodziejami i ciemnością. - u jedenastolatek i dwunastolatek pojawia się lęk przed czymś nieznanym, ciemnością oraz przed samotnością.
- trzynastolatek obawiają się odrzucenia przez grupę rówieśniczą, oraz przed nieznanymi osobami.

- u czternastolatek nasila się lęk przed wystąpieniami publicznymi, przed odrzuceniem przez kolegów lub koleżanki.

Wspomnieć należy jeszcze o dwóch rodzajach lęku. Jeden dotyczy realnie istniejącego niebezpieczeństwa. Taki lęk określany jest lękem jako stan. Natomiast lęk wywołany irracjonalnym wyobrażeniem sobie niebezpieczeństwa, którego w rzeczywistości nie ma określany jest lękem jako cechą i stanowić może zaburzenie chorobowe, które należy leczyć.

Whitehead (1995) zwraca uwagę, że lęk to uczucie normalne i bardzo ważne. Być pozbawionym lęku oznacza znajdować się w poważnym niebezpieczeństwie. Riemann (2005) natomiast w lęku widzi motywację do działania. Dzięki niej człowiek może pokonywać trudności. Problemem jest jednak to, że lęk pobudzając, równocześnie powstrzymuje człowieka, przeszkadza w rozwoju, wywołuje apatię, która może pojawić się, gdy w życiu dziecka

pojawiają się zmiany, na przykład zmiana szkoły. Jak widać, określenie prostego, wydawałoby się, zjawiska, wcale nie jest takie proste.

Wskazówki:

1. Kiedy dziecko się boi, przytul, okazać zrozumienie. Powiedz: Pewnie boisz się sprawdzianu; Rozumiem, że odczuwasz lęk, gdy jesteś u dentysty, itp.
2. Naucz dziecko obniżać poziom lęku poprzez stosowanie ćwiczeń oddechowych, relaksacyjnych, kontrolowanie swoich myśli, wyzwalanie myślenia pozytywnego, np. o tym co przyjemne, itp.
3. Obserwuj dziecko i naucz się odróżniać lęk naturalny od lęku nerwicowego.
4. Ucz dziecko w codziennym życiu odwagi poprzez zachęcanie do działań społecznych, do aktywności szkolnej, naucz wypowiadania się przy grupie osób i dyskusowania z szacunkiem.

Halina Czerwińska – psycholog i pedagog, prezes Fundacji Ostoja w Nowym Sączu, trener Szkoły dla Rodziców i Wychowawców

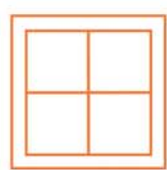


Wejdź na: www.dts24.pl
Twój portal codziennych wiadomości



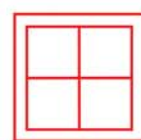
Partnerzy wydania:





TRADYCJA

FABRYKA OKIEN



V-STAR

TECHNOLOGY

DZIAŁ SPRZEDAŻY

tel: +48 (18) 440 00 14

tel: +48 (18) 444 05 60

e-mail: sprzedaz@tradycja.biz

www.tradycja.biz

Zgrzewanie kształtowe

Powierzchnia zgrzewów jest płaska oraz jednolita, tworzy jednolitą strukturę.

Znacznie trwalsze połączenia

Innowacyjna metoda łączenia z wykorzystaniem technologii miniwczepów pozwala uzyskać nawet 50% trwalsze połączenie.

Wspaniała estetyka połączeń, możliwa do uzyskania nawet w trudno dostępnych miejscach profili

Powierzchnia połączonych ze sobą profili nie jest rozrywana nożami czy frezami, lecz jest jednolita w pełnej ciągłości.

Parametry termiczne

Idealnie dopasowane uszczelnienie pozwala uzyskać jeszcze lepsze parametry termiczne okien.

Perfekcyjne odwzorowanie kształtu, szczególnie w profilach z zaokrąglonymi powierzchniami

Estetyczne zaokrąglenia w narożach mogą być prezentowane w pełnej krasie.

SPOSÓB POŁĄCZEŃ NAROŻY SPEŁNIAJĄCY NAJWYŻSZE OCZEKIWANIA ARCHITEKTONICZNE I DEKORACYJNE

Jeśli istniały ograniczenia produktowe dla stolarki z PVC to właśnie zostały zniwelowane. Możliwość łączenia profili w technologii V-STAR pozwala na tworzenie unikatowych produktów, zarówno pod kątem ich kształtów jak i rodzajów powierzchni. Stolarka z PVC stworzona przy użyciu nowych standardów zapewnia absolutnie innowacyjny i niespotykany do tej pory wymiar estetyki. Naroża PVC połączone kształtowo nie odstają już estetyką od naroży wykonanych z najbardziej prestiżowych materiałów, jakimi są drewno czy aluminium. Architekci, projektanci czy dekoratorzy wnętrz mają od tej pory swobodny wybór pomiędzy materiałami!

TRADYCJA FABRYKA OKIEN, 33-300 Nowy Sącz, ul. Elektrodowa 47